



Jacquelyn Webb



Maskarada

ROZDZIAŁ I

Sportowy samochód ruszył gwałtownie. Melissa przytrzymała ręką swoją blond perukę.

- Robisz potworny błąd!

Mężczyzna siedzący za kierownicą uśmiechnął się.

- Nie sądzę, kochanie. Będziesz uczestniczyć przynajmniej w jednym spotkaniu całej rodziny, nawet jeśli miałbym cię na nie zaciągnąć za włosy.

- Chyba długo nie widziałeś Soni, skoro uważasz, że jestem do niej podobna - powiedziała Melissa. - Na głowie mam perukę, a pod spodem są moje prawdziwe brązowe włosy.

Mężczyzna spojrział na nią nieufnie swymi cynicznymi zielonymi oczami.

- A co było dwa lata temu w Ameryce Południowej, kochana kuzyneczko? Ufarbowałaś włosy na czarno i przysięgałaś, że jesteś seniorą Velosce - mówiąc to, gwałtownie wyprzedził wielką ciężarówkę. - Kiedy na polecenie babki pojechałem do Hiszpanii, aby wyciągnąć cię z tarapatów, miałaś włosy ogniście rude.

Mężczyzna po mistrzowsku wziął ostry zakręt. Melissa z przerażenia wcisnęła się w fotel.

- Zawsze tak prowadzisz?

- Prowadzę dużo bezpieczniej, niż ty mogłabyś to kiedykolwiek robić.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Do Kornwalii. I nie zwracaj mi więcej głowy swoim paplaniem.

Jesteśmy już wystarczająco spóźnieni.

Melissa umilkła, oszołomiona tempem ostatnich wydarzeń. Siedzący obok niej młody i arogancki mężczyzna, który wręcz uprowadził ją tego ranka, wzbudzał w niej przerażenie.

A przecież cała ta idiotyczna pomyłka nie miałaby miejsca, gdyby nie pożyczyła od Soni kostiumu z czerwonego aksamitu i nie przymierzyła jej blond peruki.

Weekend zaczął się zupełnie zwyczajnie. Kiedy, jak zwykle w piątek, Melissa wróciła wieczorem z pracy, już od progu natknęła się na okropny rozgardiasz, co bez wątpienia oznaczało powrót Soni.

- Cześć, kochanie, melduję swój powrót!

Zza drzwi od łazienki wyjrzała jasnowłosa dziewczyna w zawadiacko przekrzywionym na bakier kąpielowym czepku.

Melissa roześmiała się; dołeczki w jej policzkach pogłębiły się jeszcze, nadając twarzy psotny wyraz. Przez cały podwieczorek Sonia rozśmieszała ją, trajkocząc nieustannie o ludziach, których spotkała, i o miejscach, w których była.

Zadzwoił telefon. Melissa, ciągle jeszcze chichocząc, podniosła słuchawkę. Po chwili uniosła brwi i podała ją Soni.

- Peter, kochanie... - Sonia przewróciła oczami i spojrzała na Melisę. - Ależ jestem zajęta, mój drogi. Powiedz im, żeby radzili sobie beze mnie. - Zaśmiała się głośno i cisnęła z trzaskiem słuchawkę na widełki.

- Oczekuje ode mnie uczestnictwa w jakimś rodzinnym zgromadzeniu - powiedziała, zapalając papierosa. - Musimy mieć podobne głosy. Peter na początku pomylił cię ze mną.

- To niemożliwe, nie ma między nami żadnego podobieństwa - zapewniła Melissa, zbierając naczynia. Sonia spojrzała na nią uważnie przez leniwie unoszącą się z papierosa smugę dymu.

- Wiesz, gdybyś nie była tak zaniedbana i zamknięta w sobie...

Melissa przystanęła, trzymając oburącz talerze. Jak zwykle nie wiedziała, czy roześmiać się czy oburzyć.

Pod każdym względem różniły się od siebie: ona - skromna i bezpretensjonalna, sumiennie pracowała na swojej marnej posiadzie, natomiast

Sonia - atrakcyjna stewardessa - była harda, bezkompromisowa i nigdy nie dbała o porządek. Mimo to doskonale się ze sobą zgadzały.

- Ależ Soniu... - zaprotestowała.

Sonia z błyskiem w oczach zerwała się z krzesła i pociągnęła Melissę przed lustro.

- Jesteśmy tego samego wzrostu, budowę też mamy taką samą; gdybyś nie była tak śmiertelnie poważna i przestała nosić te ponure stroje, byłybyśmy bardzo do siebie podobne.

Melissa z powątpiewaniem wzruszyła ramionami, ale wiedziała, że opieranie się Soni nie miało najmniejszego sensu. Co prawda, rzeczywiście były tego samego wzrostu, ale na tym ich podobieństwo kończyło się.

Sonia poruszała się z gracją i była pełna wdzięku, a jej pewność siebie podkreślała jeszcze te cechy. Melissę cechowała skromność i małowówność. Poruszała się cicho i zawsze starała się usunąć w cień, tak że prawie nikt jej nie zauważał. Ocienione czarnymi rzęsami niebieskie oczy Soni iskrzyły się radością życia, a krótkie blond włosy zwijały się nad czołem w pukle. Melissa miała szare, zamyślane oczy; była brunetką o jedwabistych, błyszczących włosach.

Sonia wyrwała Melissie stertę talerzy i postawiła je z powrotem na stole. Chwyciła zamaszystym ruchem blond perukę, która pokrywała się kurzem, leżąc od jakiegoś czasu na puszcze po herbacie, i naciągnęła ją przyjaciółce na głowę.

- A teraz uśmiech! - zarządziła.

- Bardzo nikłe podobieństwo - oceniła Melissa.

- Bardzo duże podobieństwo - zaprzeczyła Sonia, uważnie przyglądając się ich odbiciom w lustrze. - Ach, jak to wygodnie mieć sobowtóra.

- Zwłaszcza kiedy trzeba pozmywać naczynia - kąśliwie stwierdziła Melissa.

- Jedziesz do domu na niedzielę? - spytała Sonia, ignorując aluzję.

- Jutro rano.

- Wybierz z moich ciuchów coś jasnego i wesołego. Twoja rodzina pewnie ma już dosyć oglądania co niedzielę twoich strojów a la Kopciuszek. Czy znasz takie powiedzonko: "Jak cię widzą, tak cię piszą"?

- Chyba masz rację. Mogłabym ubrać coś żywszego - przyznała Melissa.

- Przymierz mój czerwony żakiet z aksamitu oraz spodnie. I - na miłość boską - umalujże się trochę! Możesz wziąć mój nowy cień do powiek; od tuszu jeszcze nikomu rzęsy nie wypadły.

Biały sportowy wóz mknął przed siebie. Melissa z wściekłością oglądała mijane miasta i wsie. Oto oddalała się coraz bardziej od celu swojej podróży, wieziona samochodem, prowadzonym przez szalonego młodego mężczyznę, który nie chciał jej wierzyć. Zaufała Soni i od razu wpadła w tarapaty.

Upewniwszy się, że przyjaciółka skorzystała z jej kosmetyków, Sonia wyjechała gdzieś na niedzielę. W sobotę, tuż przed porą obiadową, Melissa była gotowa do wyjścia; spakowane walizki czekały pod drzwiami.

Przystanąła jeszcze na chwilę przed lustrem, patrząc z podziwem na swoje odbicie. Kostium z czerwonego aksamitu ożywiał jej twarz, a czarny tusz do rzęs i delikatne niebieskie cienie na powiekach zdecydowanie upodabniały ją do Soni. Zebrała swoje długie włosy i z ciekawości nasunęła na głowę perukę. Sonia miała rację! Podobieństwo było niezwykle!

Stała jeszcze przed lustrem, poprawiając loki, kiedy do mieszkania wszedł młody mężczyzna i sięgnął po walizkę.

- Obawiam się, że to jakaś pomyłka - powiedziała Melissa, podchodząc do drzwi, aby odzyskać bagaż.

Kosmyk ciemnych włosów opadał nieznajomemu na czoło; spojrzenie zielonych oczu było niesympatyczne, a wysunięta szczeka nadawała twarzy stanowczy wyraz.

- Czas już z tym skończyć - powiedział.

Złapał ją za ramię, wyprowadził z mieszkania i popchnął w kierunku białego sportowego samochodu.

Usiłowała go powstrzymać; była oburzona, lecz równocześnie rozbawiona tą sytuacją.

- Z pewnością jesteś Peterem Darcy. Sonia wyjechała na cały weekend. Mieszkam z nią. Nazywam się Melissa Morris.

Nieznajomy zmarszczył brwi ze złością.

- Właź do samochodu, albo cię do niego wrzucę.

- Ale ja nie jestem Sonią... - upierała się Melissa, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ma do czynienia z szaleńcem. Sonia jednak nigdy nie wspominała, żeby w jej rodzinie był ktoś chory psychicznie.

Mężczyzna cisnął walizkę na tylne siedzenie, wziął dziewczynę na ręce i zniósł z ostatnich stopni, po czym rzucił na przednie siedzenie.

Zanim zdołała ochłonąć, Peter Darcy siedział już za kierownicą, a po chwili samochód wtopił się w ruch uliczny. Nie mogła już w żaden sposób wysiąść.

Skuliwszy się na siedzeniu, przyglądała się kuzynowi Soni, jego mocnemu, wyrazistemu profilowi i zaciśniętym ustom. Nie wyglądał na nie zrównoważonego czy chorego psychicznie. Nagle odwrócił głowę i przyłapał ją na przyglądaniu się mu.

Podniósł jedną brew, a zaciśnięte usta rozluźniły się w niepewnym uśmiechu. To był uśmiech Soni - może trochę wymuszony, ale figlarny i zaraźliwy. Melissa poczuła, że też się uśmiecha; dołeczki w policzkach pogłębiły się lekko, po czym zniknęły.

- Tak jest lepiej - pochwalił Peter. - Miałaś tak ponurą minę, że już prawie zwątpiłem w to, że jesteś Sonią.

- A jednak nie jestem - odparła Melissa.

Zaśmiał się bez troski.

- Próbuj dalej mnie o tym przekonać.

Dziewczyna umilkła.

- W schowku są papierosy - powiedział Peter. Melissa znalazła paczkę, zapaliła jednego i podała mu.

- Rzucasz palenie? - zapytał, wyciągając rękę po papierosa.

- Nie palę - wyjaśniła.

Peter rzucił jej krótkie, ale uważne spojrzenie; po chwili zjechał z autostrady i zatrzymał samochód.

- Niech ci się przyjrzę - powiedział, biorąc ją pod brodę. - Wyglądasz jak Sonia, mówisz jak Sonia i śmiejesz się jak Sonia. Ciekaw jestem, czy całujesz tak jak ona?

Jego usta były gorące i natarczywe; Melissa poczuła rumieńce na policzkach. Wyglądało na to, że Sonię i kuzyna łączyły zażyłe stosunki.

Długi pocałunek sprawił, że jej opór zaczął słabnąć. Czowała wyraźnie swój nierówny oddech i bijące mocno serce.

Wreszcie chłopak uwolnił ją z uścisku i spojrzał na nią. Z jego oczu zniknęła powierzchowna wesołość; patrzył na Melisę wstrząśnięty i oszołomiony.

- Nie jesteś Sonią.

- Już ci to mówiłam - powiedziała. Drżała, lecz była zbyt wzburzona i zażenowana, żeby domyślać się, dlaczego ją to zmartwiło. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Peter wydobyl z kieszeni wielką białą chustkę, objął Melisę opiekuńczym ramieniem i wytarł jej twarz.

- Wytrzymaj nos - powiedział uspokajającym tonem.

Oparła się o jego ciepłe, przyjazne ramię. Czowała się poniżona i zawstydzona i ciężko jej było spojrzeć mu w oczy.

- A teraz, panno Melisso Morris, jeśli chciałaby pani przypudrować nosek, niedaleko stąd jest przyjemne miejsce, w którym moglibyśmy zjeść obiad.

- Nie chcę sprawiać ci kłopotu. Jeśli podrzucisz mnie do najbliższej stacji, sama wrócę do Londynu.

- Bzdura - odpowiedział zdecydowanie. - Zawsze po uprowadzeniu dziewczyny stawiam jej obiad.

Włączył silnik i wrócił na autostradę.

- Gdyby była tu Sonia, pozwoliłbym umierać jej z głodu, dopóki nie dojechalibyśmy do Pengleat House.

Popatrzył na Melisę; jego zielone oczy były teraz wesołe i pełne ciepła. Zaczęła zastanawiać się, dlaczego wcześniej uważała je za surowe i chłodne.

- Jak taka miła dziewczyna może obcować z tą bałaganiarą?

- Ta bałaganiara jest najsympatyczniejszą i najbardziej serdeczną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam - wystąpiła w jej obronie Melissa.

- To właśnie cała Sonia - zgodził się Peter, zupełnie nie zbity z tropu lekką naganą w jej głosie. Jego spojrzenie znowu było kpiące.

Nie bacząc na to, Melissa zaczęła mu opowiadać, jak poznała Sonię. Jej życie, pełne wspaniałych perspektyw, jakie dawał Londyn i nowa praca, od czasu wypadku samochodowego stało się tragiczne i ponure. Jej brat zginął, ojciec od długiego czasu przebywał w szpitalu. Nie odzyskał przytomności, a przepracowana matka, żyjąca tylko odwiedzinami w szpitalu, stała się zupełnie nieobecna.

Bob, chłopak, z którym rozumiała się bez słów, tak mocno stąpał po ziemi, że ta skłonność do depresji tylko go irytowała.

- Śmierć twojego brata to prawdziwa tragedia. Ale przecież masz jeszcze matkę, poza tym jest zawsze nadzieja, że ojciec odzyska przytomność. Na miłość boską, Melisso, otrząśnij się wreszcie z tego!

W nawyk weszły jej długie samotne spacerunki po pracy. Na sobotę i niedzielę zawsze jeździła do domu i każdy weekend mijał tak samo. Przyjeżdżała w porze obiadowej i szła z matką do szpitala. Siadały obie przy łóżku ojca i wpatrywały się w ukochaną twarz.

- Dzisiaj wygląda lepiej, prawda kochanie? - mówiła matka szeptem.

- Tak, o wiele lepiej - przytakiwała jej za każdym razem córka.

Melissa pracowała do późna w biurze. Wieczorem wracała do wynajętego mieszkania, siadywała w swoim maleńkim pokoju i pograżała się w rozmyślaniach.

Sonię spotkała po raz pierwszy w parku.

- Chyba nie może być tak źle? - zagadnęła przyjaźnie i Melissa, zawsze zamknięta w sobie i pełna rezerwy, zupełnie niespodziewanie otworzyła się przed elegancką nieznajomą, wylewając z siebie cały żal i rozpacz. Sonia zmusiła ją do wypicia kawy i odprowadziła do domu.

- Naprawdę mieszkasz w tej norze? - Była przerażona wyglądem pokoju. Melissa usiłowała uśmiechnąć się i na chwilę pokazały się jej urocze dołeczki w policzkach.

- Duchów tu nie ma, jest tylko ponuro. Ale przy moich zarobkach nie stać mnie na lepsze mieszkanie.

W niebieskich oczach nowej znajomej pojawił się błysk.

- Kochanie, przyszło mi do głowy, że możesz rozwiązać mój problem. Potrzebuję współlokatorki, która by opiekowała się moim wielkim mieszkaniem. Czasami, kiedy mam "lot", nie ma mnie cztery, pięć dni; kiedy indziej nocuję w domu tylko co drugi dzień. Jeśli nie boisz się być sama, jestem pewna, że o wiele lepiej będzie ci tam niż tutaj.

Melissa, która od razu niewytłumaczalnie łatwo przylgnęła do dziewczyny, będącej pod względem charakteru i temperamentu jej całkowitym przeciwieństwem, zgodziła się z ochotą. Pomimo ponurych przewidywań znajomych, którzy wróżyli szybki koniec ich znajomości, dziewczynom mieszkało się razem doskonale.

- Poza tym jest fantastyczna - zakończyła. - To rzeczywiście pasuje do Soni - zaśmiał się Peter i zwolnił przed zabytkową karczmą w stylu Tudorów.

Również podczas obiadu często uśmiechał się szeroko i pogodnie. Dzięki niemu poczuła się odprężona i uspokojona; dołeczki w jej policzkach pojawiały się coraz częściej.

- Kiedy rodzice Soni zginęli, wychowywała ją babka - powiedział Peter, zmrużywszy oczy. - Była bardzo niesfornym dzieckiem. Cała rodzina musiała jej pilnować.

Potrafiła sobie wyobrazić to zbuntowane dziecko, z którego wyrosła impulsywna, bezkompromisowa kobieta, ciągle jeszcze sprzeciwiająca się autorytetom.

- Kiedy kolejny raz uciekła ze szkoły, babka pozwoliła jej odejść. - Spojrzał na zegarek i nagle, tonem zupełnie oficjalnym, powiedział:

- Czas jechać.

Zaprowadził ją do samochodu i otworzył drzwi.

- To zdumiewające! Ty nawet chodzisz jak ona!

Melissa nic nie odpowiedziała. Sonia spędziła godziny na uczeniu się jej eleganckiego chodu.

- Czy musisz kulić się jak myszka, kochanie? Podnieś głowę, wyprostuj plecy. Mysz nikogo nie zainteresuje.

Za nimi zatrzymał się wielki czarny samochód. Peter zastygł w bezruchu; na jego twarzy malowała się irytacja. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wyskoczyła dziewczyna. Uśmiechnęła się.

- O, Peter i Sonia! Przypuszczałam, że mogę spotkać któreś z was po drodze.

Melissa czekała w milczeniu. Czy był to ktoś z rodziny Soni? Peter posłał jej błagalne spojrzenie, które nadało jego twarzy bezbronny wyraz.

- Rozmawiamy z Pamelą - podpowiedział.

Melissa uśmiechnęła się niewyraźnie i z ulgą pomyślała o założonych wcześniej okularach przeciwsłonecznych.

- Kochanie - trajkotała dalej dziewczyna - obciął włosy! Wyglądasz teraz bardzo elegancko.

Tak jak Peter miała przenikliwe zielone oczy, a jej włosy były lśniąco czarne.

- Sonia, być może, będzie musiała wrócić do Londynu. Nie jest pewna, o której ma dyżur - odezwał się Peter, kiedy cisza zaczęła się przeciągać.

Pamela zaśmiała się miękko; w jej śmiechu dźwięczała nuta kpiny i tryumfu.

- Cóż, może tak się zdarzyć, kochanie.

Kłaniając się na pożegnanie czarnowłosej dziewczynie, zacisnął z zawziętością szczękę. Zaraz potem pędzili przed siebie z zawrotną szybkością.

- Coś nie tak? - zapytała Melissa. Popatrzył na nią i jego ponure czoło rozchmurzyło się.

- Tylko to, że nie jesteś Sonią.

Nagle spojrzał na nią uważniej. Jasne loki opadały na jej wysokie czoło, a duże przeciwsłoneczne okulary zasłaniały szare, pełne smutku oczy.

- Melisso! Powiedziałaś, że wiele zawdzięczasz Soni. Czy teraz ty zrobiłabyś coś dla niej?

- Oczywiście - zgodziła się.

- Pamela Davenport, Sonia i ja jesteśmy kuzynami.

Peter urwał, jakby miał trudności w dobraniu odpowiednich słów.

- Wszyscy troje dziedziczymy równe części rodzinnych interesów. Ja jestem dziedzicem majątku, ale biznes kontrolują trzy rodziny: Darcy'owie, Davenportowie i Hamiltonowie, których reprezentuje Sonia.

- Sonia - powtórzyła jak echo Melissa.

Zacisnął usta.

- Jeśli nie pojawi się w tym tygodniu, babka może wyłączyć ją z testamentu i wtedy Sonia zostanie bez grosza.

Nie odpowiedziała. Sonia nie tylko mogła uważać się za samowystarczalną, pracującą kobietę, ale bez wątpienia spała na pieniądzech. Dlatego mogła sobie pozwolić na cotygodniowe wypadu do Nicei oraz kupowanie drogich fatalaszków i biżuterii.

- Będziesz musiała przez dwa dni udawać Sonię, to wszystko.

- Absolutnie nie mogę!

- Dlaczego? Ja przecież wziąłem cię za nią. Babka jest zbyt schorowana, żeby odkryć różnice, a co do pozostałych, to nie widzieli jej od lat.

Popatrzyła w jego zielone, natarczywe oczy i zawahała się. Odgrywanie roli Soni mogło stać się dla niej wyzwaniem. Zanim przeniosła się do Londynu, należała do kółka dramatycznego i z wielkim zapalem grywała drobne role. Wiedziała też, że osobowość to bardziej postawa i sposób mówienia niż faktyczny zespół cech.

Pomyślała o impulsywnej, upartej, ale i wspaniałomyślnej przyjaciółce. Nie mogła jej zawieść po tym wszystkim, co dla niej zrobiła. Przed oczami stanął jej dom rodzinny i matka, która była tak zaabsorbowana wizytami w szpitalu, że najprawdopodobniej nie zauważyłaby, czy Melissa przyjechała do domu czy nie. Bob, jej narzeczony, był zbyt zajęty pracą wydawniczą, by zwrócić uwagę na to, że zniknęła na całą niedzielę.

- Jeśli jesteś tego pewien... - powiedziała. Twarz Petera rozjaśniła się.

- Jesteś wspaniała! To potrwa tylko do jutrzejszego obiadu, a w następny weekend osobiście natrę Soni uszu.

Melissa nie chciała nietaktownie sugerować, że Sonia może być zbyt zajęta swoją nową miłością, żeby znaleźć czas na odwiedzenie rodziny; po prostu przemilczała to.

Peter opowiedział teraz zwięzle i krótko o przeszłości Soni.

Pan Hamilton zginął w tragicznym wypadku w fabryce, zostawiając żonę z trójką małych dzieci. Samotna matka musiała ciężko walczyć z przeciwnościami, aby ocalić dom i interesy.

- Tylko dzięki jej żelaznej ręce firma przetrwała najgorsze lata. - Głos Petera pełen był szczerego podziwu. - Ojciec Soni był jej jedynym synem. Kiedy z żoną zginął w wypadku samochodowym, omal nie złamało to jej serca. Dla swoich dwóch córek nigdy nie miała wystarczająco dużo czasu. Całe jej życie było podporządkowane interesom. Myślę, że babka byłaby zdolna wystawić nas wszystkich na licytację, gdyby wymagał tego biznes.

W jego głosie wyczuła gorycz. Słuchała nie odzywając się. Czy to właśnie była zagadka Soni, która woląla raczej porzucić dom, niż dać się wprząc w rodzinne interesy?

- Rodzina jest rozbita, wszyscy walczą i rywalizują ze sobą. Pamela i jej rodzice nie cofnęliby się przed niczym, aby raz na zawsze pozbyć się Soni, mimo że to właśnie jej ojciec postawił firmę na nogi. Nowy proces technologiczny, który opracował i opatentował, wszystkim nam wypchał kieszenie pieniędzmi.

- Rzeczywiście, nie wydają się sobie zbyt bliscy - powiedziała Melissa. Sama pamiętała inny świat: poczucie bezpieczeństwa, jakie dawała jej rodzina, brata pełnego uczucia i radości życia, ojca, który się nimi opiekował i ochraniał ich. Nie mogła wyobrazić sobie nienawidzącej się aż do trzeciego pokolenia rodziny.

- Davenportowie traktują firmę jak dojną krowę; nie chcą przegłosować wniosku o przyznanie pieniędzy na zakup nowych maszyn. Jeśli chciałbym przeforsować jakieś większe zmiany, musiałbym objechać pół świata, żeby złapać Sonię.

- Sonia zawsze głosuje tak jak ty?

Twarz Petera ściągnęła się, a ożywione dotąd oczy przestały błyszczeć.

- Tak, ustaliliśmy to już dawno temu.

Melissa poczuła się odepchnięta. Umilkła.

Z pewnością taka umowa była jak najbardziej naturalna, jeśli łączyły ich więzy tak bliskie, jak wskazywało na to jego zachowanie. Nagłe przygnębienie uznała za skutek kilku ostatnich, wyczerpujących godzin.

- Zmęczona? - zapytał Peter. Potrząsnęła głową; nie chciała już się odzywać, nie miała do siebie zaufania.

Samochód zjechał w dół ku maleńkiej wiosce rybackiej, a po chwili znów wspiał się na wzgórze. Jechali teraz wąską, otoczoną żywopłotem szosą; kołyszając się wolno, minęli ozdobioną ornamentami bramę z kutego żelaza i długą, krętą aleją podjechali pod dom. Był to wielki kamienny budynek, wybudowany na początku dwudziestego wieku.

Zapadał już zmierzch; przez półokrągłe okna nad portykiem sączyło się światło.

- Soniu Hamilton, witamy w Pengleat House - powiedział Peter. Melissa popatrzyła na drzwi frontowe. Zaszło jej w ustach. Była przerażona. Maskarada się zaczęła!

ROZDZIAŁ II

Wprowadzając Melisę do wykładanego drewnianą boazerią holu, Peter trzymał ją mocno za ramię. W pewnej chwili zatrzymał się i spojrzał w kierunku podwójnych drzwi, zza których dochodził cichy szmer rozmowy.

Wzruszył tylko ramionami i skierował się w stronę krętych schodów, prowadząc dziewczynę za sobą. Po kilku krokach zatrzymali się przed ogromnym obrazem olejnym, z którego uśmiechając się spoglądała na nią Sonia. Włosy miała wysoko upięte w kok, a z paska w talii spływała, wijąc się, błękitna szarfa.

- To babka - poinformował Peter. Otworzył jedne z drzwi i wsunął walizkę do środka. - Przebierz się, a potem napijemy się czegoś przed kolacją.

Pomyślała o swojej sfatygowanej sukience z niebieskiej wełny.

- Nie mam nic odpowiedniego - przyznała się cicho.

- Sonia zawsze zostawia tutaj pół swojej szafy. - Wepchnął ją lekko do pokoju. - Masz dziesięć minut.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Petera już nie było. To, że nosiła czerwony kostium Soni, nie znaczyło, że zamierzała korzystać z całej jej garderoby.

Wymacała w ciemności włącznik i zapaliła światło. Pokój był uroczy i oglądając go, uśmiechała się do siebie z zachwytem. Czowała w nim obecność Soni i to ją uspokajało. Prawie słyszała, jak drwiącym głosem wyśmiewała jej skrupuły.

Spojrzała na imponujących rozmiarów rzeźbione łoże z baldachimem, przykryte błękitną narzutą, doskonale harmonizującą z niebieskimi tapetami. Na okazałej toalecie w ciemnoniebieskim wazonie stał bukiet białych i niebieskich kwiatów. Wysokie okna, sięgające od sufitu aż do podłogi, zasłonięte były błękitnymi kotarami, a pomiędzy nimi stało skromne krzesło z atlasowym obiciem w takim samym kolorze.

Melissa otworzyła jedne z drzwi; była za nimi przytulna i nowoczesna łazienka, której kafelki w białe i niebieskie kwiaty znakomicie pasowały do wystroju sypialni. Drugie prowadziły do garderoby wypchanej bezładnie odzieżą.

Popatrzyła z rezygnacją na rzędy sukienek.

Co wypada włożyć w tym domu do kolacji lub, co ważniejsze, w jaką sukienkę ubrałaby się Sonia? Zastanawiając się, przejrzała szafę i wyciągnęła dwie najmniej ekstrawaganckie.

Czarna sukienka z zakrywającą szyję koronką wydawała się wystarczająco prosta, ale z tyłu głęboki dekolt odważnie odkrywał plecy. Była jak najbardziej w stylu Soni, ale Melissa odłożyła ją na bok. Wiedziała, że nie zdobędzie się na założenie jej.

Druga, z błękitnego aksamitu, wyglądała na bardzo skromną, a jej odcień podkreślałby niebieskie oczy Soni. Melissa przebrała się pospiesznie, ale gdy przeglądała się w lustrze, rumieniec oblał jej twarz - pomimo długich rękawów sukienka miała bardzo głęboki dekolt.

W pośpiechu otworzyła komodę; w jednej z szuflad leżały skłębione apaszki, wstążki, spinki i broszki. Tylko Sonia mogła zostawić w pokoju tak okropny bałagan, zupełnie jakby miała wrócić następnego dnia i wszystko posprzątać.

Znalazła wreszcie spinkę, którą mogła spiąć dekolt. Zamykając szufladę, dostrzegła szafirową broszkę o ciekawym kształcie. Wyjęła ją z szuflady, żeby dokładniej się przyjrzeć.

Broszka wyglądała na bardzo starą, niemal zabytkową; szafiry były zręcznie ułożone we wzór przeplatających się dzwoneczków.

Melissa spojrzała jeszcze raz na spinkę. Zastanawiała się przez chwilę, w końcu wzruszyła ramionami i skrzywiła się ponuro. Jeśli przebierała w garderobie Soni, równie dobrze mogła używać jej biżuterii. Spinając dekolt, pocieszała się, że skoro broszka leżała porzucona pomiędzy skłębionymi

wstążkami przez ostatnie dwa lata, nie mogła być szczególnie cenna. Wiedziała, że Sonia nie miałaby nic przeciwko wykorzystaniu jej.

Cofnęła się o krok i jeszcze raz popatrzyła z przejęciem na swoje odbicie w lustrze. Zdziwiło ją, że wcześniej nie zwróciła uwagi na to, jak bardzo są do siebie podobne.

A podobieństwo było wyjątkowe - szczególnie teraz, gdy peruka zakrywała wysokie czoło, a jasne loki podkreślały owal twarzy. Co prawda, oczy Soni były chłodne, jasnoniebieskie, a Melissy szare; błękitna sukienka nadawała im jednak niebieski refleks. Rzecz jasna, ludzie zawsze zwracają uwagę na wyraz twarzy. Twarz Melissy była zwykle bezbarwna, natomiast Soni - żywa i kpiąca, z hardo wysuniętym podbródkiem.

Uniosła lekko brwi i spojrzała ironicznie. Teraz podobieństwo stało się doskonałe. Z odbicia patrzyła na nią uśmiechająca się Sonia.

Nagle ktoś niecierpliwie zastukał.

Melissa z żalem podniosła się znad wielkiej sterty pantofli, z których żadne na nią nie pasowały; na szczęście jej własne buty były wystarczająco schludne i nie rzucały się w oczy pod długą spódnicą.

Peter przebrał się w dobrze skrojony smoking i znów był eleganckim nieznanym. Skinął głową na znak aprobaty, a w jego oczach malował się podziw. Melissa zarumieniła się, uświadamiając sobie, że nie myśli już o nim jak o kimś zupełnie obcym.

- Wspaniale! I pamiętaj, żeby traktować wujka Harolda i ciotkę Cynthię z najwyższą pogardą.

Spojrzała lękliwie, ale pogłaskał ją uspokajająco po ramieniu.

- To rodzice Pameli; Cynthia jest jedną z córek babki.

Wziął ją pod rękę i oboje poszli schodami w dół, w kierunku podwójnych drzwi, zza których dochodził szmer rozmów. Melissa poczuła, że drżą jej kolana. Ogarnęła ją trema, ale, niestety, nie było to przedstawienie kółka dramatycznego i wiedziała, że nikt nie doda jej otuchy.

Peter zatrzymał się przed drzwiami, ścisnął ją za łokieć i posłał pokrzepiający uśmiech. Popchnął drzwi.

Pamela, w obcisłej sukni z białej krepy, stała odwrócona do nich plecami. Kiedy zobaczyła Melissę, niedowierzanie i niechęć pojawiły się na jej twarzy.

Przy kominku zobaczyła starszą kobietę; wyblakłe niebieskie oczy patrzyły ze smutkiem, a w starannie ułożonych siwych włosach pobłyskiwały pojedyncze rude pasemka. Melissa od razu odgadła, że jest to ciotka Cynthia.

Na niskim krześle po drugiej stronie kominka siedział przysadzisty starszy mężczyzna w okularach. To mógł być tylko wuj Harold.

- Prosimy, prosimy, jesteśmy zaszczyceni! - Wyjął z ust cygaro i obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, nie siląc się nawet na ukrycie swej antypatii. - Nasza mała Sonia we własnej osobie!

Zacisnęła pięści. Nikt jeszcze nie zwracał się do niej w tak nieprzyjemny sposób. Uniosła brwi i próbowała zmusić się do uśmiechu.

- Dobry wieczór, wuju Haroldzie, ciociu Cynthio. Cieszę się, że was widzę - zdołała wycedzić, naśladując kpiący ton Soni, po czym odwróciła się do nich plecami. Peter sięgnął po ciężką karafkę.

- Napij się sherry, Soniu? - Było to raczej polecenie, niż pytanie. Melissa wyciągnęła rękę po kieliszek.

Peter spojrzał na nią z szacunkiem, ale nie bez zdziwienia. Pamela przysunęła się bliżej i też przyglądała się Melissie z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

- Mimo wszystko zdecydowałaś się przyjechać, moja droga? - spytała matowym głosem.

"Ona też nie lubi Soni" - pomyślała Melissa, starając się opanować drżenie rąk.

- Czemu nie? - odparła, wzruszywszy ramionami, dokładnie w stylu Soni. Spróbowała tego gestu po raz pierwszy, ale najwidoczniej zrobiła to nieźle, gdyż

z twarzy Pameli zniknęło zaintrygowanie, a jego miejsce zajęła, jarząca się w zimnych zielonych oczach, nienawiść.

- Ty idiotko! Myślisz, że i tym razem uda ci się udobruchać babkę?

- Soniu, kochanie, jeszcze jeden kieliszek? - wycedził Peter.

Westchnęła. Nic dziwnego, że Sonia niechętnie spotykała się ze swoimi krewnymi, skoro tak zawzięcie jej nienawidzili. Pamela skrzywiła czerwone usta i przymrużyła czujnie patrzące oczy. "Wygląda jak kotka" - pomyślała Melissa. - "Przyczajona kotka, która starannie ukrywa pazurki".

- Właśnie mówiłem Soni, że to świetna okazja, żeby porozmawiać o interesach. Tak rzadko spotykamy się wszyscy razem.

Melissa wypła łyk sherry i znów wzruszyła ramionami.

- A kogo obchodzą interesy?

Wuj Harold wstał, ciągle trzymając w dłoni kieliszek, i odchrząknął.

- A mimo to nasza mała Sonia zawsze jest skora odebrać swój udział w zyskach, prawda? - powiedział z drwiną w głosie.

- Po prostu będzie to miłe spotkanie członków zarządu - zasugerowała Pamela.

- Ale nie po kolacji - przerwał jej Peter. W chwili, gdy to mówił, do salonu wszedł staruszek, powłócząc nogami. Odziany był w zrudziały od starości czarny surdut. Otworzył drzwi do jadalni.

- Podano do stołu - oznajmił.

Peter położył dłoń na ramieniu Melissy i poprowadził ją do jadalni.

Było to duże i ponure - mimo ognia w kominku - pomieszczenie. Stół zastawiono zdobionym srebrem; na środku stały migoczące świeczniki. Staruszek spojrzał z dezaprobatą na Melissę i szurając butami, podszedł do kredensu, na którym czekały gorące dania.

- Po herbacie moglibyśmy porozmawiać o nowych maszynach - zaproponowała ciotka Cynthia. Usiadła, rozkładając serwetkę, i rzuciła surowe spojrzenie Melissie.

Po raz kolejny poczuła, że ogarnia ją panika. Co powinna zrobić?

Od dawna wiedziała, że Sonia potrafi z wdziękiem odparować wszystkie złośliwości.

Uniosła podbródek i uśmiechnęła się.

- Możemy porozmawiać o tym później.

Cała trójka westchnęła jednocześnie, po czym zapanowała cisza. Z pewnością nieraz słyszeli tę irytującą, wygłoszoną słodkim tonem odpowiedź Soni.

Staruszek usługiwał, Davenportowie jedli w ciszy. Peter usiłował podtrzymać wytworną rozmowę o niczym - o pogodzie, o stanie parku, o zmianach, jakie zaszły w ogrodzie.

Na jednym z końców stołu stało wielkie krzesło z wysokim oparciem. Pamela zauważyła, że Melissa przygląda się mu.

- Pójdiesz wieczorem na górę zobaczyć się z babcią, kochanie?

- Oczywiście.

Krzesło najwyraźniej należało do babki. Zdumiało ją, że nawet teraz można było wyczuć jej obecność przy stole.

- Czy jesteś pewna, że będziesz mile widziana? Ostatnim razem zostałam wyproszona - przypomniała złośliwie Pamela.

- Oczywiście, że przyjdzie przywitać się z babcią. Właśnie przyjechała - wtrącił sucho i rzeczowo Peter. - Od kiedy masz nowy samochód? - odwrócił uwagę Pameli, która zaraz zaczęła rozplýwać się nad zaletami swojego wozu. Temat rozmowy stopniowo się zmienił, zaczęli wspominać starych znajomych i miejsca, w których razem bywali.

Melissa bawiła się widelcem. Peter mówił, że Sonia ignoruje swoich krewnych, więc być może jej milczenie nie wzbudzi żadnych komentarzy. Nagle przeszył ją dreszcz przerażenia - przecież gdyby próbowała włączyć się do rozmowy, zupełna nieznajomość ludzi i miejsc natychmiast by ją zdemaskowała.

Znowu żałowała, że tak głupio dała się namówić Peterowi. Nie miała duszy oszustki, brakowało jej zimnej krwi i sprytu, bez którego nic nie mogło się udać.

Powiedziała mu to, kiedy po kolacji wyszli z jadalni na taras.

- Bzdura - odpowiedział. - Jesteś najbardziej bystrą dziewczyną, jaką spotkałem. Spisujesz się znakomicie.

Zrobiło jej się miło. Szczery podziw w jego głosie był bardzo schlebiający.

- Uważam, że masz talent aktorski. Sposób, w jaki cedzisz słowa, i jeszcze to wrzuszanie ramionami - Sonia jak żywa!

- Mieszkamy razem kawał czasu - wyjaśniła. Zadrżała nagle, bo zrobiło się jej zimno.

- Powinnaś coś na siebie narzucić - powiedział Peter. - Ale nie pójdziemy po szal, nie ma co ryzykować. - Zdjął marynarkę i otulił nią Melisse. Wziął ją pod rękę i zeszli kamiennymi schodami do ogrodu. Dziewczyna przystanąła. Ścieżka wiła się w słabym świetle.

- Czy nie powinniśmy już wracać?

- I pozwolić, żeby wuj Harold znowu zrzędził, że urządzenia, które chcę wprowadzić, są takie drogie? Dolejemy oliwy do ognia, jeśli zmuszą cię do głosowania i oszustwo wyjdzie na jaw.

Melissa wzdrygnęła się, zrobiła krok do przodu i potknęła się na jednym ze stopni. Peter chwycił ją mocno za ramię.

- Tak jest znacznie bezpieczniej - powiedział.

- Skoro tak uważasz - zgodziła się posłusznie. Nagle, czując cały komizm tej sytuacji, uśmiechnęła się. - Czy naprawdę musimy błądzić po omacku w ogrodzie tylko po to, żeby uniknąć Davenportów?

W słabym świetle dostrzegł dołeczki w jej policzkach i roześmiał się z sympatią. Był to beztroski, spontaniczny śmiech, nie pasujący zupełnie do skupionego mężczyzny z zaciśniętymi ustami, którego poznała dziś rano.

- Tu jest naprawdę dużo bezpieczniej.

Minęli kępę gęstych krzewów, a potem zeszli schodami w dół. Stanęli na skraju urwiska; poniżej ostro rysowała się linia brzegu. Światło księżyca połyskiwało na falach, które z głuchym pomrukiem wpływały do maleńkiej zatoczki.

- Nie zobaczysz tego teraz - wyjaśnił Peter - ale w dole stoi stary domek rybacki, do którego prowadzi bezpieczna ścieżka.

Melissa rozejrzała się. Dostrzegłszy obok kamienną ławkę, usiadła na niej, otulając się szczelniej marynarką Petera. Widok zapierał dech w piersiach, ale wiatr był bardzo zimny. Peter usiadł obok.

- Babka kochała ten widok chyba tak samo jak ogród. Spędziła lata na urzędowaniu go.

- Czy jest bardzo chora? Peter wzruszył ramionami.

- Ma chore serce i prawie osiemdziesiątkę. Żyje tylko dzięki sile woli.

Pomyślała, że to potworne być chorą, umierającą i otoczoną Davenportami, czającymi się jak hieny. Co prawda Peter ją ubóstwiał, ale Sonia wydawała się całkowicie ignorować jej obecność. A przecież starsza pani wychowała ją i okazała jej tyle serca.

- Zawsze byłem babce bardzo bliski. Wydaje mi się, że oboje mamy głowę do interesów. Davenportowie traktują firmę tylko jako źródło dochodów, a dla Soni jest ona jeszcze jedną przeszkodą na drodze do wolności. Interesy przykuwają ją do tego miejsca. Poza tym Sonia i babka mają zbyt podobne temperamenty, żeby mogły ze sobą przebywać.

Obrócił się w stronę Melissy i popatrzył na jej zmartwioną twarz. Odszukał dłonią delikatny podbródek i dotknął palcem miękkiego policzka.

- Tak naprawdę, nie jesteś taka jak Sonia, wiesz? Masz bardziej subtelne rysy i łagodną twarz.

Melissa uniosła brwi i uśmiechnęła się. Próbowwała odepchnąć od siebie to dziwne uczucie, które ogarniało ją za każdym razem, kiedy Peter ją dotykał.

- Będę musiała pamiętać, żeby to ukryć. Trzeba zachować pozory.

Księżyc schował się; w mroku widziała już tylko ciemniejący zarys jego postaci. Poczula, że otacza ją ramieniem i lekko przyciąga do siebie.

- Czy wiesz, że masz namiętne usta?

Dotknął je wargami z delikatnością, która ją rozbroiła. Czula, że pod wpływem ich ciepła jej ciało rozluźnia się. Drżała i wbrew zdrowemu rozsądkowi bezwolnie zaczęła odwzajemniać jego czułość.

Peter stawał się coraz bardziej natarczywy. Jego usta nie były już ciepłe i delikatne; płonęły ogniem, który pobudzał każdy nerw. Usłyszała swoje mimowolne westchnienie.

Za chwilę powędrowały niżej, do głębokiego dekoltu atłasowej sukni. Marynarka zsunęła się z jej ramion, ale Melissa nie czuła już zimnych podmuchów wiatru, smagających nagie ramiona i piersi; czuła tylko głuche dudnienie serca i buchający żar uniesienia. Niewyraźnie wyszeptała czule słowa i w zapamiętaniu przyciągnęła go do siebie.

Nie była już cichą, nieśmiałą Melissą, lecz nie mogła też rozpoznać, kim lub czym się stała. Jeden pocałunek sprawił, że poczuła się sobie obca. W mocnych objęciach tego człowieka nie poznawała już ani siebie, ani swoich reakcji.

Znów pokazał się księżyc, zalewając srebrną poświatą wybrzeże i wzgórze. Jego chłodne światło otrzeźwiło Melissę.

- Och - westchnęła, zaczerpując głęboko powietrza. Słyszała swój nierówny oddech i nie mogła opanować drżenia; odsunęła się mimowolnie od Petera i podniosła marynarkę, aby się nią okryć. Cóż to za szaleństwo tak nagle ją ogarnęło? Dlaczego z taką ochotą i tak namiętnie odpowiedziała na zaloty mężczyzny, który siedział teraz obok niej, oddychał szybko i nierówno jak ona, a jego usta nadal były rozchylone w czułym uśmiechu.

Cisza przedłużała się. Czula, że jej policzki płoną. Po jakimś czasie rumieńce ustąpiły i zrobiło się jej przeraźliwie zimno.

Peter wstał wreszcie i podał jej rękę. Melissa podniosła się powoli i opuściła oczy ze wstydem. Poprawił jej marynarkę.

- Możemy wrócić ścieżką - powiedział łagodnie. - W świetle księżyca róże będą wyglądać przepięknie.

Skinęła głową. Zmieszana pospiesznie ściągała brzegi zbyt głębokiego dekoltu. Uczucie upokorzenia znowu wymalowało na jej twarzy szkarłatne rumieńce. Dla Petera całowanie, a być może i to, co potem nieomal nastąpiło, było przypadkowym gestem, nad którym nawet się nie zastanawiał. Kiedy zrozumiał, że nie była jeszcze na to przygotowana, ustąpił. Był teraz doskonałym panem domu, oprowadzającym ją po różanym ogrodzie.

Melissa przygryzła wargę. Dostała niezłą nauczkę. W przyszłości będzie bardziej uważać na swoje reakcje. Szli pod górę krętą, skapaną w księżycowej poświacie ścieżką. Przed nimi pojawił się ciemny i masywny dom, z którego okien sączyło się na taras złote światło.

Kiedy wchodzili po szerokich schodach, drzwi otworzyły się i stanęła w nich postać w uniformie, wyraźnie odcinając się na tle światła.

- Wygląda na to, że babka zdecydowała się z tobą zobaczyć - zauważył Peter.

Melissa poczuła skurcz w żołądku. Nie była w stanie ciągnąć dalej tej śmiesznej przebieranki. Pragnęła uciec do zacisza sypialni, w której miała nadzieję znaleźć schronienie. Posłała Peterowi błagalne spojrzenie. Zrozumiał, że obawia się tego spotkania.

- Nie widziała Soni od ponad półtora roku i jest schorowaną staruszką. Szukałaś nas, Moffat? - podniósł głos.

Pielęgniarka zamrugła zmęczonymi oczami.

- Tylko panny Hamilton.

Wrócili do salonu; cała trójka Davenportów siedziała w fotelach przed kominkiem. Kiedy Melissa przeszła obok, podążając za Moffat, na ich twarzach, jak zwykle, zagościła niechęć.

- Pozdrów ode mnie babcię, moja droga. - W głosie Pameli wyraźnie zabrzmiało szyderstwo.

Melissa uniosła drwiąco brwi, mając nadzieję, że robi to dokładnie tak, jak Sonia, i nie zatrzymując się wyszła.

- Od kilku dni starsza pani czuje się o wiele lepiej - wyjawiała pielęgniarka, kiedy wchodziły na górę po schodach.

Była to kobieta w średnim wieku; miała lekko siwiejące ciemne włosy i czujny wzrok. Melissa spojrzała na jej zmęczoną twarz.

- Jestem pewna, że to dzięki pani opiece.

- Robię, co mogę, ale te rodzinne najazdy co tydzień... - pielęgniarka urwała nagle, uświadamiając sobie, że popełniła nietakt. Dokończyła więc przeproszającym tonem - ...odbierają jej całą energię. - Otworzyła drzwi i przepuściła Melissę pierwszą.

Pokój był duży i przestronny; wszędzie stały róże, a na kominku wesoło trzaskał ogień. Melissa popatrzyła na leżącą w łóżku drobną postać.

- Och! - wyszeptała zaskoczona. Patrzyły na nią złośliwe oczy Soni. Niebieska wstążka, wpięta w śnieżnobiałe włosy, podkreślała jeszcze ich kolor.

- Przyszłaś w samą porę, kochanie. Podejź bliżej, żebyś mogła ci się przyjrzeć.

Melissa powoli podeszła do łóżka. Podobieństwo było nieprawdopodobne; miała przed sobą dosłownie osiemdziesięcioletnią Sonię: te same kpiąco uniesione brwi, zdecydowanie wysunięta broda i wąskie ramiona.

Nachyliła się i pocałowała ją. Staruszka nie wydawała się jej obca. Nieraz widziała już te oczy, które patrzyły na nią zatroskane, gdy była chora, i kpiące, kiedy ogarnęło ją przygnębienie. Czowała się tak, jakby znała i kochała starszą panią przez całe życie.

- Coś podobnego, stajesz się bardziej przyjacielska! - W głosie babci zabrzmiała radość.

Wyciągnęła w kierunku Melissy szczupłą dłoń. Dziewczyna usiadła przy łóżku i ujęła ją.

Staruszka przymknęła oczy i zapadła w krótką drzemkę. Wyglądała teraz na nieskończenie starą i zniszczoną; twarz miała pokrytą tysiącami zmarszczek, a pod cienką skórą ostro rysowały się kości twarzy.

Nagle znów otworzyła oczy. Były tak ruchliwe, że starość i nadciągająca śmierć momentalnie zniknęły z jej oblicza.

- Nosisz szafirową broszkę?

Melissa wzdrygnęła się: odruchowo chwyciła luźno wpiętą broszkę. Zupełnie o niej zapomniała.

- Pasuje do sukienki - wyjaśniła.

Starsza pani zachichotała; z jej piersi wydobył się suchy, ochryply dźwięk. Siedząca w rogu pokoju pielęgniarka spojrzała z niepokojem.

- Pasuje do ciebie! Pierwsza właścicielka też była tak zuchwała.

Zmęczona opadła na poduszki i znowu zamknęła oczy.

Zapanowała cisza. Przyglądając się jej, Melissa dostrzegła resztki dawnej urody, zauważalne mimo wszystkich spustoszeń, jakich na jej twarzy dokonały starość i choroba. Świadczyły o niej kształt wielkich oczu i delikatna budowa ciała, której nawet starość nie mogła zmienić. Ponownie otworzyła swe niebieskie oczy; były teraz ostre i przenikliwe.

- Cóż, moja panno! Czyżby odebrało ci mowę?

- Nie chcę cię męczyć - powiedziała niepewnym głosem Melissa.

- A co z moją sugestią?

Melissa spojrzała pytająco na pielęgniarkę, krzątającą się przy drzwiach. Jak dotąd rozmowa układała się logicznie, ale staruszka mogła zacząć majaczyć. Pielęgniarka wzruszyła lekko ramionami. Melissa miała nadzieję, że wiekowa dama zapadnie znowu w krótką drzemkę, lecz ta przyglądała się jej bacznie bystrym i pełnym uwagi wzrokiem.

- Mój Boże! Wypadłaś stąd dwa lata temu, nie dając mi żadnej odpowiedzi. Myślałam, moja panno, że skoro tu wróciłaś, już ci przeszły skłonności do dąsów.

Melissa delikatnie odgięła palce, zaciśnięte na jej dłoni jak szpony.

- A może porozmawiamy o tym jutro? Pielęgniarka podeszła do łóżka i zaczęła poprawiać poduszki.

- Zmęczycie się pani. Proszę porozmawiać z panną Hamilton jutro.

Staruszka osunęła się, posyłając jeszcze jedno baczne spojrzenie swojej wnuczce, stojącej już przy drzwiach. Jej oczy były kpiące i iskrzyły się wesołością.

- Jeśli jeszcze zostało mi jakieś jutro, zobaczymy się na pewno, moja panno. Możesz odejść.

Melissa cicho zamknęła za sobą drzwi i zatrzymała się w zamyśleniu na schodach. Z dołu dochodził ją szmer głosów; przez otwarte drzwi od salonu wpadało światło. Nie musiała bynajmniej schodzić tam i znów stykać się z Davenportami. Postanowiła pójść prosto do sypialni; chyba tak właśnie postąpiłaby Sonia.

Weszła do pokoju i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Jutro zapyta Petera o powody, dla których od tamtej pory Sonia nie chciała się spotkać z babką.

Odpięła broszkę i wsunęła ją z powrotem do szuflady pomiędzy skłębione wstążki. Być może Peter powie jej również, do kogo przedtem należała?

Powiesiła na wieszaku sukienkę. To był długi, pełen niespodzianek dzień. Mimowolnie jej myśli wróciły do incydentu w ogrodzie, kiedy zareagowała tak namiętnie i uległa na to, co zaczęło się przypadkowym pocałunkiem. Przyłożyła dłonie do rozognionej twarzy, na nowo przeżywając ten epizod.

Co wywołało to niezwykle, wprawiające w zakłopotanie uczucie, które ogarniało ją podczas pocałunków Petera? Pocałunki Boba nigdy nie doprowadziły jej do takiego stanu. Przyjrzała się w lustrze swojej zmęczonej,

rozpalonej twarzy. Bob, który pewnego dnia miał zostać jej mężem, był dobrym i rozsądnym chłopcem. Mieli się pobrać, kiedy dochody z jego sklepu staną się tak wysokie, by mogły utrzymać żonę. Jemu z pewnością nie przyszłoby do głowy, żeby pocałować dziewczynę, którą dopiero co ujrzał w świetle księżyca. Jego pocałunki były takie, jak on - spokojne i niezbyt namiętne.

Melissa wepchnęła perukę pod poduszkę i naciągnęła kołdrę aż pod brodę. Pomyślała o uśmiechających się miękko i zmysłowo ustach; poczuła przyjemny dreszcz. Po chwili spróbowała myśleć o Bobie.

Był uosobieniem bezpieczeństwa i stabilizacji. Rzecz jasna, kochała go. Tak, kochała go, podkreśliła to usilnie. Dlaczego jednak miał tak mało werwy w zalecaniu się? To było zastanawiające! Ziewnęła i natychmiast zapadła w sen.

ROZDZIAŁ III

Melisse obudziło delikatne pukanie do drzwi. Przez chwilę rozglądała się wokół zdezorientowana obcym otoczeniem. Wspomnienia powoli napływały. Sięgnęła pospiesznie pod poduszkę, chwyciła perukę i naciągnęła ją na głowę. Zawinęła się w pościel, po czym zawołała:

- Kto tam?

Do pokoju weszła młoda dziewczyna, niosąc tacę.

- Pan Darcy powiedział, że chciałby się zobaczyć z panią w letnim domku za pół godziny - powiedziała, kładąc w nerwowym pośpiechu na łóżku tacę,

Melissa zjadła jajecznicę na bekonie, potem z filiżanką kawy oparła się zamyślona o poduszki.

Pytanie, czy wytrzyma ten weekend, wydało jej się teraz śmieszne. Peter obiecał, że zaraz po obiedzie odwiezie ją prosto do domu, i dbał o to, żeby nie musiała zbyt często stykać się z Davenportami.

Wzięła prysznic, ubrała się w czerwony kostium i dokładnie wyszczotkowała perukę. W zamglonym świetle poranka jej oczy miały swój zwykły szary odcień. Wyjęła okulary przeciwsłoneczne. Czy może wyjść w nich z pokoju? W końcu zdecydowała, że tak. Mimo wszystko, słońce usiłowało przebić się przez grubą warstwę chmur, a gospodarze byli pewnie przyzwyczajeni do ekstrawagancji Soni. Wyszła z pokoju. W całym domu panowała idealna cisza.

Gdy dochodziła do schodów, z mijanych właśnie drzwi wyszła pielęgniarka. Melissa przypuszczała, że Moffat czekała właśnie na nią.

- Panno Soniu!

Melissa uśmiechnęła się, schodząc po schodach.

- Później - obiecała.

Doszedłszy do ciemnego holu przystanąła niezdecydowana. Które drzwi prowadzą na taras? Korytarz skręcał za schodami; zeszła w dół po nierównych stopniach. Przejście zwężało się, lecz z oddali, przez lekko uchylone drzwi płynęło światło. Melissa poszła w tamtym kierunku. Drzwi otwierały się na wykładany kamiennymi płytami dziedziniec, gdzie stała wielka czarna limuzyna, biały sportowy samochód, nowy, błyszczący amerykański wóz i poobijany szary mercedes.

W okalającym dziedziniec wysokim murze znajdowała się wąska brama; przeszedłszy przez nią, Melissa znalazła się na tarasie.

Przed nią rozciągał się ogród - dokładnie przystrzyżone zielone, aksamitne trawniki, drzewa i krzewy, do których prowadziła wąska wybrukowana ścieżka.

Idąc nią, Melissa mijała kępy lawendy i doskonale utrzymane róże. Ścieżka zbiegała w dół, przechodziła w kamienne stopnie i skręcała obok złotego jesionu, prowadząc prosto do letniego domku.

Peter siedział na kamiennej ławce i czekał z ramionami pochylonymi do przodu i zamyślonym wzrokiem, utkwionym w rosnącym obok krzewie

rododendronu. Na odgłos jej kroków odwrócił się i wstał; jego surowe spojrzenie złagodniało.

- Udało ci się wymknąć z domu bez przeszkód?

Melissa z uśmiechem przypomniała sobie pielęgniarzkę Moffat. Dzisiaj czuła się beztrosko i lekko. Być może udzieliła się jej niefrasobliwość Soni.

- Ledwo uszłam z życiem.

Peter wziął ją pod ramię i poprowadził wąską i zarośniętą ścieżką. Odsuwał przed nią ciężkie gałęzie i pomagał schodzić w dół po stromiznie.

- Przed kim się chowamy? - zapytała.

- Przed Davenportami - wyjaśnił. Zostaniemy w ukryciu do obiadu, a potem natychmiast wyjedziemy z Pengeat House.

Wyszli na dziedziniec, z którego rozciągał się widok na wybrzeże. Na znajdującej się tam kamiennej ławie siedzieli poprzedniego wieczora. Melissa poczuła, że się rumieni. Pospiesznie rozpoczęła rozmowę.

- Twoja babka oczekuje, że złożę jej dzisiaj rano wizytę. Chce, żebym odpowiedziała na pytanie, które postawiła kiedyś Soni.

Peter zaśmiał się krótko i podtrzymał ją, kiedy powoli schodzili stromą ścieżką na plażę.

- Cała babka. Bez wytchnienia pracuje nad nakłonieniem nas do ślubu.

Melissa patrzyła pod nogi. Wiedziała już, dlaczego Sonia tak nagle wyjechała z domu i nie chciała do niego wracać. Peter musiał być w niej zakochany, ale Sonia z pewnością nie chciała się z nim wiązać. Mieszkając z nią przez jakiś czas, Melissa poznała jej poglądy na małżeństwo i mogła zrozumieć burzliwą reakcję przyjaciółki na zmuszanie jej do ślubu.

- Babka uważa, że to mogłoby uprościć kwestię dziedziczenia majątku. Dzięki małżeństwu uzyskalibyśmy większość głosów, a Sonia dostałaby w spadku po babce jej część interesów, co dałoby nam kontrolę nad całą firmą.

- Jeśli przystanę na propozycję babki, Sonia się wścieknie - zwróciła uwagę Melissa. - Z kolei jakikolwiek sprzeciw z mojej strony mógłby wywołać nawrót choroby.

- Zrób to, co zrobiłaby Sonia - doradził Peter.

Melissa popatrzyła na niego niezdecydowana. W jego oczach pojawiły się nieprzyjemne błyski, a usta wykrzywił szyderczy uśmiech.

- Mam ją zdenerwować? - spytała.

- Babka to zniesie.

Melissa poczuła, że ogarnia ją niepohamowana złość.

- Ależ ona jest bardzo delikatna!

Peter spojrzał na nią złagodniałym naraz wzrokiem. Wyraźnie był rozbawiony. Poczula, że pod wpływem tego spojrzenia znów się rumieni.

- Coś podobnego! Co też my tu mamy? Czyżby myszka pokazała ząbki?

- Mówiłeś, że uwielbiasz babkę. Sądziłam, że będziesz chciał ją osłonić przed wszelkimi przykrościami.

Peter wzruszył ramionami, zacisnął usta, a potem uśmiechnął się cierpko.

- Więc dobrze, Melisso o głębokim sercu. Smok zmienił się w uroczą starszą panią. Prawdę mówiąc, ona i przykrości świetnie idą w parze.

Melissa oburzyła się w duchu, ale nie знаła Petera ani starszej pani na tyle dobrze, by się sprzeczać. Bez słowa zeszli na plażę.

Spacerowali w milczeniu, obserwując fale, które napływały na mokry piach, pochłaniając coraz większą połąć brzegu.

- Myślę - zaczęła w końcu Melissa, starając się wypowiadać swoje uwagi obojętnym tonem - że twoja babka jest bardzo samotna. Wcale nie jest zabawnie być starym i chorym, kiedy Davenportowie kręcą się w pobliżu. - Urwała. Nie chciała do końca wypowiadać tego, co myślała. Davenportowie krążyli jak stado hien, które poczuło kwaśny odór śmierci i zamierzało czekać cierpliwie na koniec.

- Jak hieny - dokończył.

Melissa spojrzała na niego z przerażeniem. To było zaskakujące. Peter czytał w jej myślach. Roześmiał się wesoło, jego zgorzkniałość pierzchła.

- Więc radź sobie sama. Jeśli nie przeciwstawisz się babce, obrócisz się przeciwko Soni, a wtedy zobaczysz, że twoja przyjaciółka może być wcielonym diablem.

- Ja po prostu nie chcę kłamać - zaprotestowała gorąco Melissa. - Powiedziałeś, że muszę się tylko pokazać w towarzystwie. Nie komplikuj mojego życia nowymi oszustwami.

Peter skinął głową i objął ją ramieniem. Melissa stała sztywna i wyprostowana, walcząc w duchu z przyływem uczuć, które wywoływał nawet przypadkowy dotyk.

- A zatem postanowione. Lecz, tak naprawdę, ciebie to i tak nie dotyczy. Daj po prostu jedną z typowych dla Soni wymijających odpowiedzi. Musisz znać jej repertuar na pamięć.

Melissa uśmiechnęła się blado. To dziwne, ale sama jego bliskość działała na nią tak mocno! Tętno przyspieszało, a serce znowu waliło jak młotem.

- Tak będzie lepiej - starał się dodać jej otuchy. Wiatr odgarnął mu włosy z twarzy; wyglądał teraz młodziej i bardziej beztrosko. - Policzę się z Sonią później. - Znowu rozśmieszył go wyraz jej twarzy. - Czy wiesz, myszko, że z twojej buzi można czytać jak z książki? Czyżbyś wątpiła w to, że mógłbym natrzeć jej uszu?

Melissa zostawiła opinię o niezależnej i zdecydowanej Soni dla siebie i zmieniła temat.

- A szafirowa broszka? Nie włożyłabym jej, gdybym wiedziała, że to pamiątka. Do kogo należała?

- Tylko Sonia mogła cisnąć taką cenną rzecz do szuflady. Powinna być w sejfie - gderał Peter.

- Do kogo należała? - ponowiła pytanie Melissa.

- Do lady Carstairs. Babka podarowała ją Soni ze względu na jej podobieństwo do owej damy. Miała ona skandaliczną reputację. A historia jest tak sensacyjna, że Soni, przy wszystkich jej wysiłkach, nigdy nie uda się tego osiągnąć. Możesz zobaczyć broszkę na obrazie.

- Czy portret lady Carstairs jest tutaj?

- Tak, w galerii.

- Bardzo chciałabym go zobaczyć - powiedziała prosząco Melissa.

Oczy Petera zabłysły.

- Zobaczysz go, Melisso. Zaczynam się zastanawiać, jak głębokie okaże się twoje podobieństwo do Soni.

Jego ton sprawił, że Melissa znów się zaczerwieniła; na szczęście za ciemnymi okularami mogła ukryć przynajmniej oczy. Z ulgą pomyślała, że maskarada dobiega końca. Zastanawiała się, czy nie byłoby bezpieczniej spędzić ten ranek wśród Davenportów, jakoś dając sobie z nimi radę, niż stawiać czoło Peterowi.

- To koniec naszej plaży - powiedział.

Stali na krawędzi grani, spoglądając na kolejną krzywiznę wybrzeża. Trafili akurat na przypływ; wściekle fale podływały do skał i z sykiem rozpryskiwały się o wystające krawędzie rafy. Słońce schowało się całkowicie za szarymi chmurami.

Melissa zadygotała. Poczula, że jej nastrój nagle się zmienia - stała się przygnębiona, a szare niebo i ponura woda pasowały teraz do jej samopoczucia. W tym wspaniałym domu na szczycie wzgórza snuto po kryjomu intrygi, czaiła się nienawiść. Było w nim tak niebezpiecznie, jak w najeżonej zdradliwymi skałami zatoce, na którą patrzyła.

Peter objął ją.

- Po obiedzie zabieram cię prosto do domu - obiecał ciepłym głosem. Zaczęli iść z powrotem. Uniósł brwi, zdziwiony jej ciągłym milczeniem.

- Przecież nikt cię tu nie zje. Odwiedzisz babkę, a w trakcie obiadu możesz pokazać Davenportom, gdzie raki zimują. Potem wyjedziemy.

Melissa skinęła głową, nie mając odwagi się odezwać. Czowała, że intryga, która tak łatwo się zaczęła, oplątuje ją coraz bardziej.

Pewnego dnia miała wyjść za Boba, a od Petera oczekiwano, że poślubi Sonię.

Wspominanie intymnych chwil, spędzonych z Peterem, było niebezpieczne. Zaryzykowała jednak i zerknęła na niego. Co czuł, co myślał ten pełen dystansu mężczyzna o wyniosłej twarzy i ostrym, taksującym spojrzeniu?

Jeszcze raz spojrzała na niego ukradkiem. Wspinał się po stromej, krętej ścieżce, ciągnąc ją za sobą. Czy była dla niego tylko krótkotrwałą atrakcją? Znowu ogarnęło ją uczucie upokorzenia i rozpacz; jej twarz to rozpalala się, to bladła.

- Spójrz, oto twój wróg - zamruczał jej do ucha Peter. Przyciągnął ją do siebie i objął w pasie. Melissa otrząsnęła się z zadumy; podniosła głowę i popatrzyła prosto w oczy Pameli, która siedziała na kamiennej ławce, trzymając w palcach tłącego się papierosa.

Jak długo mogła ich obserwować?

Na kilka sekund w spojrzeniu dziewczyny pojawiła się nietajona nienawiść. Ale po chwili Pamela była znowu po prostu ładną dziewczyną; uśmiechała się, czekając, aż do niej podejda. Wiatr rozwiewał jej czarne włosy.

- Babcia kazała mi was poszukać. Chce zobaczyć się z Sonią przed obiadem.

- Oczywiście - wycodziła Melissa. Uniosła brwi - okazywało się, że bez trudu udawało jej się naśladować Sonię. Pamela patrzyła na nią z ukrywaną wyniosłością.

- Pospiesz się, moja droga, bo Moffat dostanie białej gorączki ze złości. Wiesz, że nie znosi, kiedy zmusza się babkę do czekania.

Melissa poszła przodem. Pamela mocno chwyciła Petera za rękę i powiedziała pieszczotliwie.

- Tylko pięć minut, kochanie. Tatuś chce podjąć decyzję w sprawie tego planu zabezpieczeń.

Melissa odwróciła się, żeby jeszcze raz na nich popatrzeć. Pamela, uczepiona ramienia Petera, wyglądała jak kolorowy kwiat. W sposobie, w jaki się do niego tuliła, widać było wielkie oddanie.

Nagle Melissa zrozumiała, że Pamela go kocha. Uważała ją za swoją rywalkę; jej nienawiść stała się tym samym zrozumiała. Ale w jaki sposób Sonia, która w ogóle nie była zainteresowana Peterem, mogła manipulować uczuciami tamtej?

Zatrzymała się na tarasie. Nie mogła zdradzić się teraz nieznajomością terenu. Na szczęście jedne ze szklanych drzwi były otwarte; czekała w nich pielęgniarka. Cała jej postawa wyrażała naganę.

- Panno Soniu, proszę się pospieszyć. Chcę, żeby się znowu położyła, siedzenie bardzo ją wyczerpuje.

Melissa weszła do środka; Moffat dokładnie zamknęła za nią drzwi. Znalazły się w uroczym saloniku, w którym na kominku płonął ogień. Starsza pani siedziała na wózku inwalidzkim, opierając się o poduszki. Pielęgniarka poprawiła je i wyszła cicho z pokoju drugimi drzwiami.

- Przepraszam, że kazałam ci na siebie czekać - zaczęła usprawiedliwiać się Melissa. Staruszka uniosła wątlą dłoń i gestem nakazała ciszę.

- Byłaś z Peterem, prawda? - Jej niebieskie oczy były tego ranka pełne życia.

- Spacerowaliśmy po plaży - odpowiedziała Melissa, uradowana miłym tonem głosu babki.

Nie zdecydowała się na zdjęcie okularów. Czowała, że zasłaniały ją przed tymi przenikliwymi oczami, które w dziennym świetle natychmiast

rozpoznałyby oszustwo. Wiedziała, że starszej pani, tak bardzo przecież podobnej do Soni, nie należy denerwować ani martwić.

- Peter to dobry chłopiec - powiedziała staruszka, podkreślając swoją aprobatę skinieniem białowłosej głowy.

Zapanowała cisza. Na kominku wesoło trzaskał ogień. Melissa czekała z założonymi rękami. Babka zamknęła powieki i zapadła w krótką drzemkę.

Do pokoju weszła cicho pielęgniarka. Składała właśnie na tacę puste opakowania i buteleczki po lekarstwach, gdy usłyszała:

- Nie trzeba chodzić na palcach, Moffat. Jeszcze nie umarłam. - Starsza pani przesunęła pełen kpiny wzrok z pielęgniarki na Melisę. Dziewczyna wyprostowała się i siedziała sztywno, prawie nie oddychając.

- Nie będziemy ze sobą więcej walczyć, Soniu.

Wyciągnęła szczupłą dłoń w mimowolnym geście prośby i Melissa ujęła ją w swoje ręce.

- Nie, babciu - powiedziała cicho. Niebieskie oczy staruszki pałały dziwnym podnieceniem.

- Kochasz go, prawda?

Melissa ścisnęła jej dłoń. Starsza pani zakaszła.

- Dobra z ciebie dziewczyna.

Na pożegnanie babka klepnęła ją w ramię. Melissa nachyliła się i pocałowała ją w pomarszczony policzek.

Pielęgniarka otworzyła drzwi i dziewczyna wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Dochodziła już do schodów, kiedy przez uchylone drzwi jadalni doszedł do niej wybuch śmiechu wuja Harolda. Zajrzała do środka. Stół był nakryty do obiadu; siedzieli już przy nim Davenportowie. Musiała się do nich przyłączyć.

Peter wstał i podsunął jej krzesło. Kiedy siadała, starsza para popatrzyła na nią z niechęcią. Pamela uniosła pytająco brwi i uśmiechnęła się, ale w jej

oczach czaiła się drwina. Melisse przerażała antypatia, tak wyraźnie wymalowana na twarzach obserwującej ją trójki.

Popatrzyła na zupe, którą właśnie przed nią postawiono. Miała już zamiar przeproszać za spóźnienie, ale Sonia na pewno by tego nie zrobiła; wzruszyła więc tylko ramionami i wzięła łyżkę.

Podczas obiadu Pamela szebiotowała do Petera, wuj Harold grzmiącym głosem rozprawiał o interesach, a jego żona w przerwach przytakiwała mu swoim "no właśnie".

Zanim Peter odsunął krzesło, aby dać jej znak, że skończył, poprzysięgła sobie, że już nigdy nie weźmie udziału w tak nieprzyjemnym spotkaniu.

- Pójdę po walizkę - powiedziała. Wuj Harold wyduł dolną wargę.

- Nie tak szybko, dziewczyno - zagrmiał groźnym głosem. - A co z przegłosowaniem nowego systemu zabezpieczeń?

Melissa zatrzymała się w drzwiach i uniosła brwi na wzór Soni.

- Ależ oczywiście, będę głosować za Peterem, skoro tak nalegasz.

- A może kochanie, odłożylibyście to do czasu, kiedy Sonia nie będzie się tak spieszyć? - zasugerowała ciotka Cynthia.

- Rzeczywiście, nie ma pośpiechu - wtrąciła Pamela i popatrzyła na Petera. - Chyba że chcesz przepchnąć swój projekt.

Pytanie zawisło w powietrzu; Melissa czekała przestraszona. Sytuacja była napięta. Wuj Harold, przesadnie ożywiony, wychylał się do przodu, jakby zaraz miał skoczyć. Peter był spięty; jego twarz miała wyraz pełen rezerwy.

- Zawsze można to zrobić w przyszłym tygodniu - powiedział wymijająco, wzruszając ramionami. Popatrzył na Melisse; przez chwilę jego oczy wyrażały pochwałę. - Pospiesz się, Soniu.

Melissa wbiegła po schodach na górę, rozejrzała się po raz ostatni po uroczym niebieskim pokoju, po czym złapała walizkę i popędziła na dół. U podnóża schodów o mało nie zderzyła się z Peterem. Wziął bagaż i potem oboje

zeszli bocznym przejściem na dół, by nieoczekiwanie znów wspiąć się kilka stopni do góry.

- Dokąd idziemy?

- Do samochodu. Ale myślałem, zechciałabyś po drodze spojrzeć na lady Carstairs. - W jego oczach pojawił się kpiący błysk.

Weszli do długiego pasażu. Na jednej ze ścian wisiał szereg obrazów olejnych, na które padało światło z okien wychodzących na podjazd.

- Zgadnij, kto to? - spytał Peter, wskazując jeden z obrazów. Z góry patrzyły na Melisę kpiące niebieskie oczy Soni. Dawno nie żyjący artysta uchwycił hardość wysuniętego podbródka i połysk jasnych włosów, które wijąc się opadały na odkryte ramiona.

W lekkich jak mgiełka falbankach, które ledwo osłaniały pełne piersi, delikatnie połyskiwała szafirowa broszka. Każda rozetka tego filigranowego dzieła sztuki była namalowana z nieprawdopodobną dokładnością.

- Lady Carstairs jest taka piękna - westchnęła Melissa.

Peter uśmiechnął się, wziął ją pod rękę i poprowadził schodami w dół do korytarza wychodzącego na dziedziniec. Wrzucił walizkę do bagażnika i otworzył drzwi samochodu.

Zapięła pasy i pomyślała o lady Carstairs. Próbowała odkryć, na czym polegało podobieństwo tych dwóch rozdzielonych przez czas kobiet. Czy poza oczami miały coś wspólnego?

Może w uniesieniu głowy lub wysunięciu podbródka?

- Tak - zgodził się Peter. Melissa znowu odniosła wrażenie, że potrafi czytać w jej myślach. - Choć właściwie nie tyle chodzi o zewnętrzne podobieństwo, ile o wspólne cechy charakteru. Nasza Sonia także jest niesforna.

Samochód sunął w dół wąską drogą. Peter cicho pogwizdywał. Skoro tylko opuścili dom i Davenportów, jego ponury nastrój prysnął.

- A co z broszką? - zapytała Melissa. Peter roześmiał się, a jego oczy wesolo błyszczały.

- Ach, te kobiety! - zakpił. - Uwielbiasz tajemnice, prawda? Dobrze.

Dawno, dawno temu... - zaczął.

Powrotna podróż do Londynu nie dłużyła im się. Melissa w oczarowaniu słuchała opowieści o historii starej rodziny, o namiętnościach i intrygach związanych z podarowaniem lady Carstairs szafirowej broszki.

- Portret został namalowany przed skandalem, a ona od tamtego czasu już nigdy nie włożyła tej broszki.

- A co takiego się wydarzyło?

Twarz Melissy pałała ciekawością. Nie słyszała nawet hałasu na ulicach Londynu. Jej wyobraźnię zajęła przeszłość i ludzie, których ożywiła opowieść Petera.

- W końcu ustatkowała się i została przykładną żoną.

Melissa zamyśliła się, przypominając sobie jej pełną życia i wigoru twarz.

- Według mnie nie wyglądała na przykładną żonę.

Peter roześmiał się i zwolnił.

- Mężczyźni w naszej rodzinie są znani z umiejętności kierowania żonami.

Melissa poczuła, że się rumieni, ale zaraz pomyślała z ulgą, że ukrył to zmrok. Poczekala , aż Peter obejdzie samochód i otworzy jej drzwi. Odprowadził ją do wejścia, niosąc walizkę.

- Dziękuję za miły weekend, panno Morris. - Jego głos był oficjalny, ale oczy iskrzyły się wesołością, kiedy czekał, aż ona coś na to odpowie.

Ze spuszczoneymi oczami mocowała się z kluczem w zamku.

- Mam nadzieję, że znajdziesz Sonię - wykrztusiła w końcu.

Drzwi otworzyły się. Peter niedbale kiwnął głową na pożegnanie i nie spiesząc się podszedł do samochodu. Melissa stała w ponurym mroku korytarza, patrząc, jak jego biały wóz przyspiesza i wtapia się w ruch uliczny.

Zamknęła drzwi i weszła do pokoju, patrząc bezmyślnie na znajome otoczenie. Poczuła, że z obojętnym odejściem Petera coś straciła, chociaż sama

nie wiedziała, czego właściwie po nim oczekiwała. Być może, tego, że obieca ponowne spotkanie...?

Przypomniała sobie, że Peter naprawdę kocha Sonię, i żal ścisnął jej gardło. Była tylko przypadkową atrakcją na niedzielę, kimś, kto mógł go zabawić, dopóki Sonia nie pojawi się w pobliżu. Wszedł w jej życie gwałtownie i obsesowo i w jakiś sposób w ciągu tych dwóch dni zmienił ją całkowicie. Melissa przyrzekła sobie solennie, że już nigdy się z nim nie zobaczy.

ROZDZIAŁ IV

- Czemu siedzisz po ciemku? - spytała Sonia i zapaliła światło. Nagły blask oślepił Melissę; zaczęła mrugać powiekami. Rozrzucając walizki i torby, Sonia przeszła przez pokój. Zatrzymała się przed lustrem, zdjęła kapelusz i z zadowoleniem poprawiła jasne loki.

- Co za weekend!

Obróciła się w beztróskim piruecie; tweedowa spódniczka wdzięcznie okręciła się wokół jej długich nóg. Przyjaciółka spróbowała uśmiechnąć się na powitanie. Tak łatwo było zrozumieć, dlaczego babka Soni za wszelką cenę chciała ją skojarzyć z Peterem Darcy; bez wątpienia tych dwoje należało do siebie.

- Czy coś się stało? Nie spodobał się Bobowi twój wygląd?

Jej głos był pełen współczucia i sympatii. Gdy Sonia usiadła obok, otoczyła ją mgielka francuskich perfum.

- Opowiedz wszystko cioteczce Soni - zaproponowała.

Melissa zrobiła głęboki wdech. I tak w końcu jej przyjaciółka dowiedziałyby się wszystkiego.

Zaczęła opowieść od momentu, gdy Peter niemal ją uprowadził, a skończyła na tym, jak nakłonił ją do oszustwa. Zatrzymała w tajemnicy tylko to, że dwa razy ją pocałował i że ona tak gwałtownie na to zareagowała.

- Musi się coś dziać w firmie, bo twój wuj Harold usiłował przycisnąć Petera do muru w sprawie jakiegoś planu zabezpieczeń - zakończyła. Sonia przygryzła koniec długiego różowego paznokcia.

- Nowe maszyny wymagały zainstalowania ochrony. Wygląda na to, że wuj Harold woli odnowić stare.

Melissa spojrzała na nią zaskoczona. To, co powiedziała, zupełnie nie pasowało do roztrzepanej współlokatorki.

- Davenportowie lubią brać zyski do własnej kieszeni, lecz nie inwestować w firmę - wyjaśniła Sonia w odpowiedzi na jej zdziwione spojrzenie. - Peter i ja próbujemy utrudniać im to na tyle, na ile jest to możliwe. Babcia ma decydujący głos i dlatego zazwyczaj udaje się nam przeforsować to, co chcemy.

- Twój kuzyn wspominał coś o tym - przyznała. - Ale mimo wszystko ten weekend był potworny.

Sonia nie okazała skruchy.

- Kto by pomyślał, że w końcu nasze podobieństwo okaże się tak przekonywające. - Wstała i poszła do kuchni. Spodnia kołysała się jej wokół bioder. - Zrobię herbatę, kochanie.

- Czy nie uważasz, że powinnaś jak najszybciej odwiedzić babcię? Jest bardzo wątpa.

- Mam czas - zapewniła ją Sonia.

Pomyślała, że przyjaciółka jest bez serca. Ale przecież bardzo jej pomogła, kiedy Melissa była w potrzebie. Czy wobec tego ma prawo ją krytykować?

- A jeśli Peter Darcy pojawi się znowu?

- To co? - zadrwiła Sonia. - Wyjeżdżam na następne pięć dni. Będę bezpieczna.

"Ale ja nie będę - pomyślała Melissa, krojąc chleb i napełniając solniczkę.
- Nawet samo myślenie o nim sprawia, że drzę. Jak Sonia mogła być nieczuła na jego urok i tak długo opierać się namowom rodziny, by go poślubić?"

Sonia weszła do jadalni, niosąc dwa dymiące talerze. Roześmiała się na widok niepewnej miny Melissy.

- Naprawdę bardzo lubię Petera, ale według mnie jest zbyt apodyktyczny. Kiedy się z nim jest, nie można samodzielnie decydować o własnym życiu. A teraz usiądź i powiedz, co sądzisz o moim nowym przepisie na omlety.

Melissa usiadła posłusznie. "O uczuciach nie można decydować" - szeptał jakiś głos w jej wnętrzu.

Następny tydzień spędziła na nudnej i mozolnej pracy w agencji importowej, ale bez przerwy nawiedzały ją wspomnienia o despotycznym kuzynie Soni.

Sobota była mglista. Melissa spacerowała po ulicy z Bobem Williamsem. Właśnie - rozentuzjasmowany - opowiadał jej o swoim nowym sklepie.

- Będzie piękny. Położony jest w świetnym punkcie. Co prawda supermarket może być konkurencją, ale jakoś dam sobie radę.

- To cudownie - przyznała.

Z jakiegoś powodu życie wydało się jej nagle banalne i bezbarwne. Znowu przez cały tydzień była sama.

Sonia wyjechała, a Bob był tak zajęty sprawami w nowym sklepie, że nawet do niej nie zadzwonił. Nagle chrząknął, więc spojrzała na niego.

- Włożyłem w to wszystkie oszczędności, co do grosza. Dwa sklepy mogą dać początek przedsiębiorstwu handlowemu. Ale będziemy musieli odłożyć ślub o jeszcze jeden rok.

- Dobrze.

Melissa zastanawiała się, czy w ogóle obchodzi ją to, że Bob odłożył termin ślubu. Z pewnością rozwiązało to wyłaniający się problem. Dzień, w którym miała zdecydować, czy rzeczywiście chce wyjść za Boba, odsunął się w

daleką przyszłość . Pocałunki Petera Darcy i jej niewytłumaczalna uległość sprawiły, że czuła się zdezorientowana i nie była pewna swojego stosunku do Boba i jego propozycji małżeństwa.

Przypomniała sobie przykry incydent, kiedy jej narzeczony nalegał, aby dała mu dowód swoich uczuć. Na samo wspomnienie poczuła przechodzące po plecach ciarki. Bob wytłumaczył sobie jej odmowę brakiem doświadczenia i niechętnie zgodził się zaczekać do ślubu. Jeśli jednak naprawdę ją kochał, dlaczego odkładał termin?

- Kochasz mnie? - zapytała nagle Melissa.

- Ależ Melisso, co to za dziwne pytanie?

- Kochasz? - powtórzyła.

- Oczywiście, że tak - potwierdził niecierpliwie.

- Nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby mi to powiedzieć.

- Daj spokój! - Bob był nadąsany. - Jesteśmy zaręczeni, prawda? Z takimi rzeczami możemy czekać do ślubu.

Melisse świerbił język, żeby zapytać, o jakie rzeczy mu chodzi. Chyba zapewnienie, że się kogoś kocha, nie musi czekać aż do ślubu!

- Chodźmy potańczyć dziś wieczorem - zaproponowała nagle.

Potrzebowała jakiejś rozrywki, aby otrząsnąć się z nudy, jaka ją ogarniała.

- Potańczyć? - Wzruszył ramionami Bob. - Dzisiaj przyjmuję towar do nowego sklepu.

- Czy nie może tego zrobić twój pomocnik? - Wątpię - odparł krótko. - Kiedy będziemy we dwójkę, będzie szybciej.

- To chyba pojedę na niedzielę do domu - postanowiła Melissa.

- Jak chcesz - zgodził się z ulgą Bob.

W ciszy wracali do jej mieszkania. Przed domem stał, przeładowany ozdobami, czerwony sportowy samochód.

- To pewnie jednego z przyjaciół Soni - podsumował.

- Być może - odpowiedziała Melissa.

Drażniła ją nagana w jego głosie. Kiedy odkrył, że mieszkają razem, bez ogródek zaczął krytykować Sonię. Fakt, że wyśmiewała jego uwagi, jeszcze bardziej potęgował jego wrogość. Nawet jeśli była ona jednostronna, bez wątplenia sprawiała Melissie przykrość.

- Nie chcę się z nimi spotkać! - Bob szybko cmoknął ją w policzek i odszedł pospiesznie.

Melissa weszła zamyślona na schody. Czy romantyczne uniesienia kończyły się z chwilą zaręczyn, tak że nawet wyjście na tańce wydawało się nudne?

Czy były ważniejsze rzeczy od spędzania wolnego czasu w towarzystwie narzeczonej? Miała tylko dwadzieścia lat, a Bob traktował ją tak, jakby miała co najmniej sto.

Otworzyła drzwi do mieszkania. W pokoju siedział, niedbale rozparty w fotelu, nie znany jej mężczyzna. Zobaczywszy ją, podniósł się. Miał kręcone czarne włosy i wesołe brązowe oczy. W uchu połyskiwał złoty kolczyk. Melissa popatrzyła na jego obszytą frędzlami zamszową kurtkę i podniszczone dżinsy.

- To ty, kochanie?! - zawołała z łazienki Sonia.

- Tak.

- Melisso, to jest Pierre. Pierre, poznaj Melisę.

Oboje uśmiechnęli się do siebie.

- Cicha współlokatorka? - powiedział z lekkim obcym akcentem.

- Bardzo cicha współlokatorka - zgodziła się.

Prawdopodobnie był to nowy chłopiec Soni. Stwierdziła, że mógł się podobać - promieniowało od niego przyjazne ciepło. Sonia wyszła z łazienki, odziana w niebieski kostium. Na głowie miała zawadiacko przekrzywiony beret. Melissa wyczuła, że przyjaciółka z trudem tłumi podekscytowanie.

- Jedziemy do Nicei, żeby zobaczyć się z rodzicami Pierre'a - wyjaśniła. - Wstąpiłam tylko, żeby się przebrać.

- A potem odwiedzimy twoją rodzinę - przypomniał jej Pierre. - Tak wypada.

Sonia skrzywiła się.

- Nie w tym tygodniu, kochanie. Najpierw twoja rodzina, a potem możesz wejść do Pengeat House jak do jaskini lwa.

Pierre wstał i uśmiechnął się. Był to leniwy, senny uśmiech, który przekazał Soni jakąś informację. Z jej twarzy zniknął drwiący wyraz. Od tej chwili przestała być nonszalancką, kpiącą, zmanierowaną kobietką, którą знаła Melissa; była mocno zakochaną dziewczyną z błyszczącymi oczami. Wyglądali razem tak dobrze i tak bardzo byli pewni siebie.

Pomyślała o swoim narzeczonym i poczuła ukłucie w sercu.

Nigdy nie był szczęśliwy i rozluźniony w jej towarzystwie. Zawsze był rzeczowy i solidny. "Czy miała dobry tydzień? Czy udało się jej zaoszczędzić jedną trzecią cotygodniowej pensji?" Westchnęła. Sonia zaczęła się jej przyglądać i lekko zmarszczyła czoło.

- Podwieźć cię na stację, kochanie?

Melissa potrząsnęła głową. Sonia popatrzyła na zegarek.

- Boże, znowu się spóźnimy. Czas i samoloty na nikogo nie czekają.

Podnosząc niebieską torbę, Pierre demonstracyjnie wzruszył ramionami. Wyszli. Drzwi głucho zatrzasnęły się za nimi.

Podczas sprząwania mieszkania Melissa roztrząsała swój problem. Bob był bardzo miły i zgadzali się ze sobą, ale czy był to wystarczający powód, żeby dążyć do małżeństwa? Z pewnością prawdziwe życie polegało na czymś więcej. Przed jej oczami stanął obraz patrzących na siebie Pierre'a i Soni.

Pomyślała o życiu, które wybrałaby, zostając żoną Boba. Przebiegł ją dreszcz odrazy. To było naturalne, że ludzie się pobierali i mieli dzieci, ale musiało być coś jeszcze poza tym.

Wsiadła do pociągu i popatrzyła przez okno niewidzącym wzrokiem. Nigdy nie spierała się z Bobem, więc dlaczego opadły ją nagle te wszystkie

wątpliwości? Pomyślała, że wywołał je widok Soni i Pierre'a, pełnych uczucia i radości, a także wspomnienie pocałunków Petera Darcy.

Znowu spróbowała zmusić się do rozsądnego myślenia. Bob był praktyczny i niezbyt romantyczny, ale za to opiekuńczy i rzeczowy. "Zbyt rzeczowy" - podkreślił krytycznie wewnętrzny głos. "Ale przecież zawsze się zgadzali" - upierała się, próbując go zagłuszyć. "To dlatego, że zawsze mu ustępujesz i przytakujesz wszystkiemu, co powie" - jeszcze raz beznamytnie zauważył głos. Melissa w końcu przestała spierać się ze sobą i zastanowiła się, co by się stało, gdyby chociaż raz nie dała mu się zastraszyć. Wspomnienie ich dawnej, jedynej kłótni przemknęło jej przed oczami. Bob chciał, żeby zrezygnowała z zajęć kółka dramatycznego. Wrzeszczał wściekle i obraził się. Krótco potem w wypadku samochodowym zginął jej brat; życie zupełnie się zmieniło. Przestała ją pociągać zabawa w teatr.

Nie mogła oderwać się od wspomnienia porażki Boba, a jej wewnętrzny głos logicznie wskazywał, że Bob ma wszelkie cechy domowego tyrana. Westchnęła. Gdyby tylko mogła porozmawiać o tym z kimś bliskim, lecz nie ze zbyt powierzchowną Sonią i z zawsze zapracowaną matką.

Przypomniała sobie ojca takim, jakim był kiedyś - jego ciepłe, pogodne spojrzenie i cichy śmiech.

Poczuła się bardzo samotna.

Weekend w domu przebiegał według ustalonego wzorca. Weszła na palcach do pustego domu i położyła walizkę w sypialni, potem pojechała autobusem do szpitala. Matka siedziała przy łóżku; żal ścisnął Melissie serce, kiedy popatrzyła na jej zgnębioną twarz.

- Wygląda o wiele lepiej, kochanie - wyszeptała matka, nie odrywając wzroku od spokojnej twarzy ojca.

Melissa pocałowała ją nie odpowiadając. Nigdy przedtem nie zauważyła, jak bardzo matka kochała ojca. Niewiele było par tak sobie oddanych jak jej

rodzice, ale ponieważ stale była świadkiem ich uczuć, nigdy o tym nie pomyślała.

Właśnie wtedy uzmysłowiła sobie, że nigdy nie czuła się tak głęboko związana z Bobem i nigdy nie będzie, bez względu na to, jak dobrze ułożyłoby się ich wspólne życie. Usiadła bez słowa i patrzyła na spokojną twarz ojca. Było coś szczególnego w bliskości rodziców, a teraz - Soni i Pierre'a.

Boba i ją mogła łączyć tylko przyjaźń, nigdy naprawdę nie zbliżyli się do siebie.

Niedziela dłużyła się. Odbyły "pielgrzymkę" na grób brata i spędziły kilka godzin w szpitalu.

Dlaczego matka tak bardzo się oddaliła, zwłaszcza teraz, kiedy Melissa potrzebowała wsparcia kogoś starszego i mądrzejszego?

- Możemy zjeść podwieczorek przed twoim wyjazdem, kochanie - zaproponowała matka. - A potem wrócę do szpitala.

Z nagłym przyływem czułości Melissa popatrzyła na zmęczoną twarz matki. To, że jest ona nieobecna i pogrążona w smutku, było zupełnie zrozumiałe. Jej świat rozpadł się i nie potrafiła się z tym pogodzić. Melissa wiedziała, że nie ma prawa mieć jej za złe tych odwiedzin w szpitalu.

Pytanie, które przez cały weekend krążyło jej po głowie, bezwzględnie domagało się ujścia.

- Po czym poznaje się prawdziwą miłość?

Matka utkwiała zmęczone szare oczy w Melissie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy, i łagodnie uśmiechnęła się.

- Kochanie, kiedy się zakochasz, będziesz o tym wiedzieć. To takie proste.

Czy rzeczywiście było to takie proste?

I wtedy wyjawiała matce, nie dowierzając sama sobie, że zmieniła zdanie co do ślubu z Bobem.

Miała nadzieję, że wiadomość ta ją zainteresuje, ale matka patrzyła na zegarek.

- Naprawdę, kochanie? Muszę już iść. Godziny odwiedzin są takie krótkie.

Melissa westchnęła i pocałowała ją czule.

Kiedy wróciła do swojego mieszkania w Londynie, czuła się bardziej zmęczona niż przed wyjazdem. Decyzja o zrezygnowaniu ze ślubu z Bobem była gwałtownym zwrotem w jej życiu. Przyzwyczała się już do niego.

Przekręciła klucz w drzwiach. Nagle zobaczyła Boba, który wyrósł jak spod ziemi i stanął przy niej w ciemności.

- Och! - krzyknęła przestraszona. Otworzyła drzwi i zapaliła światło.

- Zadowolona z weekendu? - zapytał. Był podenerwowany. -

Pomyślałem, że gdybyś chciała, moglibyśmy pójść dziś wieczorem na jakiś występ.

Zatrzymała się na chwilę, czując wzrastające zażenowanie. Łatwo było jej myśleć o zerwaniu z Bobem, ale kiedy teraz patrzyła na jego twarz, nic nie podejrzewającą, ogarnęło ją poczucie winy.

- Wejdz, Bob - powiedziała. - Chcę z tobą porozmawiać.

Wszedł i zatrzymał się na środku pokoju.

Kiedy Melissa wytłumaczyła mu, że myślenie o małżeństwie, nawet w odległej przyszłości, uważa za błąd, twarz pociemniała mu z wściekłości.

- Oczywiście, zawsze byłeś moim dobrym przyjacielem i mam nadzieję, że nadal tak będzie - powiedziała niepewnym głosem i umilkła.

- Co to za bzdury?! - wybuchnął. Jego usta zmieniły się w wąską kreskę.

- Nie mieliśmy racji, sądząc, że jesteśmy dobraną parą - próbowała mówić spokojnie.

Patrzyła teraz jak na zupełnie obcego człowieka. Cała jego uprzejmość i dobry nastrój zniknęły; oczy Boba były chłodne.

Szybkim ruchem złapał ją za ramię i potrząsnął.

- Czy wiesz, że mamy zamiar się pobrać?

Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Melissa skuliła się przerażona. Próbowwała mu się wyrwać.

- Nie pobierzemy się - powiedziała kategorycznie.

- Przecież mnie kochasz. - Na jego pobladłej twarzy pojawił się rumieniec.

Przycisnął ją do siebie i próbował pocałować. Melisse ogarnęła nagła odraza. To nie miało nic wspólnego z miłością. Z całych sił próbowała się uwolnić z jego uścisku.

- Nie wyjdę za ciebie. Puść mnie!

- Coś takiego! - Kpiący głos dobiegł ich od tyłu.

Bob skoczył jak oparzony.

- To twoja sprawka! - wykrzykiwał. - Melissa była szczęśliwa, dopóki nie zetknęła się z tobą i twoimi chłoptasiami na jedną noc!

Sonia zanosła się śmiechem, odchyliwszy głowę do tyłu. Stojący za nią Pierre, czerwony ze złości, skoczył do przodu. Jego pięść zetknęła się ze szczęką Boba. Bob oszołomiony zatoczył się i złapał za twarz.

- Ty nigdy nie będziesz dobrą żoną!

Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Roztrzęsiona Melissa opadła na fotel.

- Nigdy przedtem tak się nie zachowywał - wykrztusiła.

- Bo nigdy nie musiał. - Sonia ciągle jeszcze była rozbawiona. Pierre posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Denerwujesz Melisse. Daj jej lepiej coś ciepłego do picia. Jest zmarznięta.

- Kawa już się gotuje - powiedziała Sonia niespodziewanie cichym głosem. Melissa popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Spojrzenie Soni było łagodne. Wyglądała teraz o kilka lat młodziej. Wyczuwała w niej triumf, ale była zbyt przygnębiona i roztrzęsiona, żeby się nad tym zastanawiać.

Sonia przyniosła kawę; Melissa wypila ją bez słowa. Teraz, kiedy poznała Pierre'a, wiedziała, że przyjaciółka nie odstąpi go na krok. Miał w sobie wewnętrzne ciepło i siłę, które uzupełniały się z jej cechami charakteru.

A jak zareaguje Peter Darcy na to, że Sonia związała się z kimś innym? Nie należał do mężczyzn, których łatwo się można pozbyć! Co stanie się z planami ich małżeństwa, od tak dawna snutymi przez rodzinę?

Pierre zauważył, że Melissa jest zmęczona; dopił więc kawę i wstał. Sonia odprowadziła go z nadąsaną miną.

- To znaczy, że mamy już iść spać, kochanie?

- Dobrze wam to robi - odparł Pierre, jak zwykle uśmiechnął się ciepło i wyszedł.

Sonia wróciła do pokoju, spojrzała na pełną rozpacz twarzy Melissy i zaczęła chichotać.

- Bob Williams był nadętym nudziarzem i dobrze, że się go pozbyłaś. Jaka szkoda, że nie było oficjalnych zaręczyn i nie dostałaś ślicznego pierścionka na pamiątkę! Wyśpij się i kup sobie coś nowego - przysięgam ci, że będziesz czuć się jak nowo narodzona.

Melissa uśmiechnęła się mimowolnie, po czym poszła do łóżka. Dobry sen i nowe ciuchy - oto niezawodny sposób Soni na wszelkie przeciwności losu! I, co najważniejsze, zawsze działający. "Podziękuj również na siebie" - powiedziała do siebie i natychmiast zapadła w beztroski i niezwykle krzepiący sen.

ROZDZIAŁ V

Fryzjerka rozpromieniła się.

- Pasują pani krótkie włosy - powiedziała.

Melissa popatrzyła w lustro zdumiona i jednocześnie zachwycona. Była taka odmieniona! Błyszczące loki okalały jej owalną twarz i podkreślały wystające kości policzkowe. Wyglądała teraz elegancko, a jej szare oczy wydawały się ogromne.

Sonia nagabywała ją od miesiący o ścięcie włosów, ale Bob nalegał, żeby zostawiła długie, bo takie właśnie mu się podobały. Zawsze powtarzał, że wygląda bardzo elegancko, gdy spina włosy w kok. Kiedy Bob wychodził, Sonia podwajała namowy.

- Ten koczek bardzo pasuje starszej pani. Gdybyś naprawdę miała nogi jak kołki, sama namawiałabym cię do noszenia tych dziwacznych kiecek z lamówkami - upierała się przy swoim, jak zwykle z drwiącym błyskiem w oczach.

- Kiedy już pozbyłaś się tego potwornego

Boba, może by zaryzykować i pójść do fryzjera?

W końcu Melissa uległa.

- Dobrze, zaryzykuję i pójdę, żeby oszczędzić ci własnoręcznego obcinania nożyczkami do paznokci moich włosów i lamówek!

Po wyjściu od fryzjera rozpierała ją radość, każdy krok był lekki. Sonia miała rację! Była zdecydowanie za młoda, żeby upinać włosy, nie malować się i nosić szare sukienki.

Teraz, kiedy perspektywa małżeństwa z Bobem nie wisiała jej nad głową jak złowieszczą czarna chmura, zdecydowała się wydać wszystkie pieniądze, które tak zapobiegliwie odkładała przez całe miesiące. Postanowiła zmienić całą swoją garderobę i kupić coś oszałamiającego - nie ekstrawaganckie kreacje, ale po prostu coś, w czym wreszcie czułaby się dobrze.

Tego sobotniego ranka miała dużo czasu na robienie zakupów. Była podniecona oczekiwaniem. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek z takim gestem wydawała pieniądze na ubrania, ale teraz wydało jej się to właściwe.

Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę ładna; wiedziała nawet, że przyciąga swoim wyglądem wzrok przechodniów. Mieszkając z Sonią, nabrała doświadczenia w doborze strojów, ale Bob zawsze zniechęcał ją do ubierania się w kolory, które - według Soni - pasowałyby jej najbardziej.

- Nie noś tych krzykliwych ciuchów - narzekał nieustannie. - Dużo lepiej ci w czymś gładkim i skromnym; poza tym takie ubrania są dużo bardziej praktyczne i długo się noszą.

Ale Melissa miała już dość burych sukienek. Chodziła od sklepu do sklepu i z entuzjazmem, bez pohamowania wybierała to, co się jej naprawdę podobało. Przed lustrem sprawdzała, czy dobór kolorów jest właściwy. Przypadkowi, pełni podziwu klienci prawili jej komplementy, co umacniało jej zaufanie do własnego gustu.

Pełna wigoru kupowała pantofle, torebki, piękną bieliznę, bluzki i spódnice, a do tego - różnorodne dodatki. Ekskluzywny sklep z sukniami był ostatni na jej drodze, więc tam zrobiła najwięcej zakupów. Przebrała się w końcu w nowy kostium lawendowego koloru, a jej brązowa, stateczna sukienka powędrowała do torby. Wyszła ze sklepu, uginając się pod ciężarem porannych zakupów.

Wracała do mieszkania powoli, całkowicie usatysfakcjonowana. Podziw, jaki malował się na twarzach oglądających się za nią przechodniów, mówił sam za siebie. Jej oczy błyszczały, a policzki zaróżowiły się. Wiedziała, że Sonia z entuzjazmem przyjmie jej zakupy, a szczególnie zachwyci się jej koktajlową sukienką z różowego aksamitu.

Sonia przyjechała do domu poprzedniego wieczoru, po tygodniu spędzonym w samolocie. Gdy Melissa oparła się o drzwi, otworzyły się nagle. Wpadła na wysoką postać.

- Była pani na zakupach, panno Morris? - spytał znany jej już, kpiący głos.

Melissa stała jak wryta, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Peter Darcy wziął od niej pakunki. Na jego widok ogarnęło ją uczucie radości, którego w żaden sposób nie mogła stłumić.

- Przyjechałeś zobaczyć się z Sonią? - zapytała. Wiedziała, że to głupie pytanie już w chwili, gdy je zadawała. Przecież to oczywiste, że przyjechał do Soni!

Skinął głową. Jego zielone oczy były nieodgadnione, a usta, jak zwykle, wykrzywił drwiący uśmieszek.

- Sonia i ja mamy wiele tematów do omówienia, poza tym byłem ciekaw, jak naprawdę wygląda panna Melissa Morris.

Melissa zaczerwieniła się; serce zaczęło jej mocniej bić. Na szczęście zdołała pozbyć się swego niegustownego stroju.

- Powinna być w domu. Nie miała zamiaru wychodzić dziś rano.

Peter położył sprawunki i wyprostował się. Rozbawiło go jej zmieszanie.

- Tak się składa, że mam zapasowe klucze. Sonia nie mogła wybrać się gdzieś daleko, gdyż czuję z kuchni specyficzny zapach jej potraw.

Melissa pociągnęła nosem; dotarł do niej apetyczny aromat wołowiny a la Strogonow. Poczula głód. Po wielkich zakupach, dzięki którym miała zmienić wygląd, nabrała apetytu.

- Kochanie - z otwartych drzwi doszedł do nich płaczliwy głos Soni. - Dlaczego nie powiedziałaś, że skończyły się przyprawy. Musiałam iść aż do... - Na widok Petera dziwny wyraz pojawił się na jej twarzy. Podeszła do niego i z kpiącą miną powiedziała: - Kochany Peter!

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go pocałowała, a Peter uniósł ją i serdecznie uściskał. Patrząc na nich, Melissa poczuła dziwne ukłucie w sercu. W końcu Peter postawił kuzynkę na ziemi. Jego twarz promieniowała radością.

- I co, dziecinko! Czyżbym odkrył, że masz coś na sumieniu?

Melissa zdziwiła się. Sonia rzeczywiście miała wypisaną na twarzy winę, ale wyraz ten zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Zostaniesz na obiad, kochanie, czy pędzisz z powrotem?

Peter rozparł się w fotelu i obserwował ją uradowanym wzrokiem.

- Zostaję, przygotuj więc dodatkowe nakrycie.

Ktoś delikatnie zapukał. Sonia popatrzyła przestraszona. Peter skoczył na równe nogi i w sekundę był przy drzwiach.

- Proszę wejść - zaprosił do środka zdezorientowanego Pierre'a.

Pierre uśmiechnął się do dziewcząt na powitanie. Miał teraz na sobie fantastyczne fioletowe dżinsy i jasnoliliową koszulę z jedwabiu; na ramiona zarzucił skórzaną kurtkę. Złoty kolczyk przebłyskiwał przez splecione pukle jego ciemnych włosów.

Melissa z trudem tłumiała wybuch śmiechu. W ciągu tych kilku dni całkowicie zaakceptowała Pierre'a i zapomniała, jak dziwaczne mogą wydawać się jego stroje komuś obcemu.

Peter przyglądał mu się ze złośliwym grymasem na ustach.

- Jak przypuszczam, to mój rywal - wycedził, wyciągając rękę.

Wymienili przeciągłe spojrzenia; w końcu Pierre uśmiechnął się szeroko, połyskując białymi zębami. Sonia westchnęła strapiona.

- Pierre, chciałabym, żebyś poznał mojego kuzyna, Petera Darcy.

- Zawsze jestem rad z poznania kogoś z rodziny Soni - odparł Pierre.

- To dobrze - powiedział z satysfakcją Peter. - W takim razie czekasz pewnie na spotkanie z babką Soni.

- Nie bądź głupi, Peter - warknęła Sonia; jej twarz była uparta.

- Oczywiście odwiedzimy babkę - zdecydował Pierre. Objął ją w pasie i spojrzał Peterowi prosto w oczy. - To chyba zrozumiałe, że chcę poznać wszystkich członków rodziny mojej żony.

W zapadłej ciszy, westchnienie Melissy wydało się nadzwyczaj głośne. Peter uniósł wysoko brwi; jego twarz była pozbawiona wyrazu, jak twarz

człowieka, któremu zadano cios. Lecz Melissa zauważyła, że prawie natychmiast przyjął maskę towarzyskiej oglady.

- Wzięliśmy ślub w zeszłym tygodniu. - Sonia popatrzyła uważnie na przyjaciółkę. Wydawała się odrobinę zakłopotana. - Nie chciałam, żeby przez jakiś czas ktokolwiek o tym wiedział. Wiesz, jaki firma ma stosunek do ślubów zawieranych przez jej pracowników.

Melissa przełamała bezwład, który ją ogarnął. Gorąco uściskała najpierw Sonię, a potem Pierre'a, który odwzajemnił to entuzjastycznie. Jeśli plany Petera Darcy były takie same, jak babki Soni, nowe wydarzenia mogły je zniweczyć. Melissa była tym przerażona.

- Wiesz, jestem zachwycona! Nie mogłam wyobrazić sobie nikogo lepszego dla ciebie niż Pierre.

- To dlatego, że w głębi duszy jesteś romantyczką - zaśmiała się Sonia. Peter uścisnął dłoń Pierre'a i ucałował Sonię.

- Więc, skoro tak się stało - powiedział już całkiem łagodnie - ślubuję akceptację tego związku i oferuję swoją pomoc. Mam nadzieję, że Pierre wie, jaki z ciebie numerek.

Sonia odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się głośno z ulgą. Melissa patrzyła na nią z narastającą podejrzliwością. Czy rzeczywiście tak bardzo obawiała się reakcji Petera na tę nowinę?

- A teraz, szanowna pani, proszę zabrać męża i przedstawić go babce - polecił Peter. - To powinno uleczyć jej obsesję swatania.

- I tak nadal będzie bawić się w swatkę. Babka nie może się powstrzymać. Przecież została jeszcze Pamela!

- Ja się wykręcę - obiecał Peter.

- A co z obiadem?! - zawołał z kuchni Pierre.

- Już idę, kochanie - odpowiedziała Sonia i poszła do kuchni, ciągle jeszcze cicho chichocząc do siebie.

Peter popatrzył na Melisę.

- I tak pozbyliśmy się Soni. Czy nie zechciałaby pani pójść ze mną na obiad?

- Ale przecież ona coś gotuje - zaprotestowała Melissa. Czują, że jej serce zaczyna zdradziecko kołatać.

- Jeszcze nie jest zupełnie gotowe, kochanie - dobiegł ich przeproszający głos Soni. - Pierre mówi, że zapomniałam dodać...

- Melissa i ja wychodzimy na obiad, więc się nie kłopotcz! - odkrzyknął Peter.

Sonia weszła do pokoju, opasując się fartuszkim. Spojrzała na niego, zmarszczyła nos.

- Przywieź ją i przedstaw babce, kochanie - zaproponowała. - Niedziela będzie i tak wystarczająco ponura.

- Czy chcesz jeszcze raz pojechać do Pengleat House, tym razem już jako Melissa Morris? - zapytał Peter i uśmiechnął się do niej prowokująco. - Zdany jestem na twoją łaskę. Będę potrzebować kogoś, kto mnie ochroni przed Pamelą.

- Nie wiem - powiedziała Melissa.

Była zbyt zdenerwowana, by zastanawiać się nad jego propozycją. Istniało przecież stale grożące niebezpieczeństwo, że zostanie rozpoznana. Ale dlaczego namawiał ją do ponownego przyjazdu do Pengleat House? Czy rzeczywiście potrzebował ochrony przed Pamelą? Czy może znowu chciał zabawić się jej kosztem?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Czy był w nich cień zainteresowania, kiedy czekał na odpowiedź? Peter obserwował uważnie jej reakcję. Byłoby miło odwiedzić ten uroczy dom jeszcze raz, bez potrzeby oszukiwania na każdym kroku. Być może w towarzystwie Soni Davenportowie nie zachowaliby się tak nieprzyjemnie.

- Jedź - nalegała Sonia, która wyczuła jej wahanie. - Będiesz wspierać duchowo Pierre'a. Spakuj się prędko, Peter może cię przywieźć po obiedzie.

- Proszę cię - namawiał przymilnym głosem Pierre. - Bez ciebie będę się trząsał jak żelatyna.

- Jak galareta - zachichotała Sonia.

Melissa nabrała już głębokiego oddechu, aby im odmówić, lecz zatrzymała się.

"Właściwie czemu nie?" - pomyślała buntowniczo. I tak nie miała niczego w planie na weekend.

- Dajcie mi pięć minut na spakowanie się - powiedziała zdecydowanie.

ROZDZIAŁ VI

Melissa pobiegła z zakupami do sypialni. Pakowała się w wielkim pośpiechu; wrzuciła do walizki sukienkę koktajlową i dobrane do niej pantofle, kolorową spódniczkę, miękką bluzkę oraz całą resztę porannych zakupów.

Nie miała nawet czasu, żeby przemyśleć swoją decyzję. Ubrała jaskrawy sweter i spodnie, a na ramiona zarzuciła cytrynowy żakiet.

Pierre zagwizdał z aprobatą; Peter uśmiechnął się.

- A mówiłam, że ubiór zdobi człowieka! Kochanie, wyglądasz wspaniale!

Sonia z niekłamanym zachwytem przyglądała się Melissie. Dziewczyna zarumieniła się, nie przyzwyczajona do komplementów i podziwu.

- I to wszystko w pięć minut - pochwalił Peter.

Pierre demonstracyjnie dał Soni szturchańca.

- Ucz się.

- Z powrotem do garów, albo nie dostaniesz nic do jedzenia - pogroziła mu Sonia, popychając go w stronę drzwi kuchennych.

- Chodźmy - powiedział Peter, podnosząc walizkę. - Znam miejsce, gdzie możemy dostać dobrze przyrządzoną pieczeń, a nie jakieś resztki.

- Jak zwykle jesteś zaściankowy - odcięła się z kuchni Sonia. - Czemu nie zaryzykujesz i nie spróbujesz w końcu przyzwoitej kuchni?

- Ponieważ dbam o swój żołądek - odparł Peter.

Ciągle jeszcze uśmiechał się. Melissa milczała. Wyszła za Peterem z mieszkania z uczuciem ulgi. Kochała Sonię i była zachwycona Pierre'em, ale razem byli zbyt hałaśliwi.

Kiedy szli spacerkiem w kierunku maleńkiego hoteliku na rogu ulicy, wątpliwości powróciły. Być może, nie powinna zgodzić się na ten wyjazd? Nie słyszała już słów zachęty i gorącej namowy, Sonia nie przekonywała jej. Melissa zaczęła się zastanawiać. Była z natury osobą roztropną i nie lubiła się w nic angażować bez przemyślenia. Może podjęła złą decyzję?

- Nad czym się tak zamyśliłaś? - zapytał Peter. Wyraźnie zainteresowany i lekko rozbawiony. - A może nie chciałabyś jechać z nami na weekend? Sonia jest czasem jak czołg, kiedy coś sobie postanowi.

Usiłowała uporządkować pogmatwane myśli. Kiedy patrzył na nią tak spokojnie, poczuła, że jej obawy przed wyjazdem są przesadzone, a ona sama zbyt przewrażliwiona. Nie miała wyjścia, musiała grać nową Melissę! Spróbowała opanować narastające uczucie niepokoju i zdołała się uśmiechnąć.

- Nic podobnego - powiedziała. - Jestem pewna, że Pierre chciałby mieć przy sobie jakąś przyjazną osobę.

- Pierre doskonale poradzi sobie z Davenportami i babką - odparł wesoło Peter. Prowadząc ją przez zatłoczoną restaurację do dwuosobowego stolika pod oknem, ścisnął mocno jej ramię. - To ja potrzebuję przyjaznej osoby, osoby panny Melissy Morris.

Poczuła w sercu ostrzegawcze ukłucie, ale zlekceważyła je. Była rozluźniona i zaczęła opowiadać o przygodach Soni z egzotyczną kuchnią. Popijając poobiednią kawę, czuła się tak, jakby znała tego człowieka przez całe życie.

Lekkie skrępowanie zupełnie zniknęło.

Melissa była w połowie opowiadania o zdarzeniu Soni z zupą z kangura, kiedy jego twarz niespodziewanie ściągnęła się. Urwała, zastanawiając się, czym mogła go urazić.

- Peter, kochanie. - Usłyszała zza pleców. Otoczyła ich mgielka drogich perfum i zanim

Melissa odwróciła się, wiedziała już, kto to. Pamela zignorowała ją, patrząc czujnym, pełnym triumfu wzrokiem na Petera.

- Miałam nadzieję, że cię tu spotkam. Często tutaj przychodziliśmy. Czy możesz być tak miły i podwieźć mnie do domu? Oddałam samochód do remontu.

- Oczywiście - zgodził się pełnym słodczy głosem Peter. - Czy znasz Melissę Morris? Przyjeżdża do nas na niedzielę.

Melissa skinęła głową, zastanawiając się, czy Pamela ją rozpozna. Ale ta obrzuciła ją tylko obojętnym spojrzeniem.

- Miło cię poznać, Melisso. - Jej głos był lodowaty.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda, kochanie?

- Bynajmniej.

Peter zatrzymał się przy kasie, żeby zapłacić i odebrać walizkę, którą wskazała mu Pamela. Wyszli. Nie mogli iść we trójkę obok siebie; Peter niósł walizkę, a Pamela kroczyła obok niego. Melissa podążała za nimi.

Pamela doszła pierwsza do samochodu i wślizgnęła się na przednie siedzenie, jakby to było jej odwieczne miejsce. Popatrzyła na Melissę.

- Dobrze ci będzie z tyłu?

Melissa usiadła bez słowa.

Jej radość z tego popołudnia nagle uleciała. Pamela onieśmiała ją. Zadając, jak Sonia, kłopotliwe pytania, miała nad nią przewagę.

Melissa Morris była dla niej nikim, więc bez straty czasu starała się to pokazać.

Podczas jazdy przejęła całkowitą kontrolę nad rozmową. Przez całą drogę rozprawiała o interesach, wspólnych znajomych i rozrywkach. Peter odpowiadał jej mechanicznie.

Zanim samochód przebył otoczoną żywopłotem drogę, prowadzącą do wysokich bram Pengeat, zapadł zmierzch. Wtedy właśnie Pamela zwróciła się bezpośrednio do Melissy.

- Właściwie przypominasz mi kogoś, ale nie wiem, kogo.

- Prawdopodobnie Sonię - zasugerował delikatnie Peter. Melissa oniemiała z zaskoczenia. - Ma taki sam kształt twarzy.

- Sonię! - wykrzyknęła Pamela.

Odwróciła się i próbowała dokładniej się jej przyjrzeć.

- Nie sędzę - powiedziała z lekceważeniem. - Przecież Sonia wygląda wyjątkowo, a...

Ściszyła głos, wypowiadając złośliwość. Melissa odczuła ulgę. To, że nie została rozpoznana, było dużą nagrodą dla jej umiejętności aktorskich.

Wreszcie samochód zwolnił i zatrzymał się przed drzwiami. Latarnia oświetlała prowadzące do wejścia schody, a półkoliste okno nad frontowymi drzwiami jaśniało w mroku ciepłym światłem. Peter wszedł za dziewczętami, niosąc ich walizki. W drzwiach stanął staruszek.

- Panna Morris zostaje na noc. Czy złoty pokój jest przygotowany?

Służący skinął głową nie odzywając się. Zabrał walizkę Pameli i oddalił się, szurając butami. Pamela poszła za nim, Melissa i Peter pięknymi rzeźbionymi schodami wspięli się na górę. Dziewczyna przystanęła na chwilę przed wielkim olejnym obrazem, żeby mu się jeszcze raz przyjrzeć, ale Peter trącił ją łokciem, jakby nie chciał, aby się zatrzymywała. Zaprowadził ją do pokoju na końcu korytarza i wstawił walizkę do środka.

- Masz dziesięć minut, żeby się przebrać. Spotkamy się na dole.

Zapaliła światło i podeszła do okna, żeby zaciągnąć złote kotary. Pokój był urządony w odcieniach złota; nawet ciasno zwinięte pączki róż w żółtym

wazonie na toalecie były złociste. Jak zwykle w sypialni, wzrok przyciągało ogromne łoże z baldachimem.

Melissa przebrała się w koktajlową sukienkę z atlasu w kolorze przygaszonego różu i założyła pantofle. Tym razem odbicie w lustrze ani trochę nie przypominało Soni. Szczotkowała lśniące brązowe włosy, aż zaczęły zwijać się w pukle. Sukienka nadawała jej twarzy ciepły odcień, a szare oczy błyszczały zadowoleniem.

Gdy była już na dole, zatrzymała się, trochę przestraszona, przed podwójnymi drzwiami. Weszła do salonu; Davenportowie podnieśli głowy i popatrzyli na nią. "Wyglądają tak, jakby siedzieli tu w tych samych ubraniach i pozycjach od zeszłego tygodnia" - pomyślała.

Peter, ubrany teraz w elegancki smoking, podszedł do niej i oficjalnie przedstawił.

- To współlokatorka Soni, Melissa Morris. Melisso, to państwo Davenport.

Wuj Harold szybko kiwnął głową, a ciotka Cynthia uśmiechnęła się blado, ale żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Do pokoju weszła, roztaczając woń drogich perfum, Pamela. Wyglądała poważnie w zielonej obcisłej sukni, która podkreślała kolor jej oczu. Włosy miała upięte w kok. Przeszła obok Melissy bez słowa i zajęła swoje miejsce przed kominkiem.

- A co z sherry, kochanie? - napomknęła.

Peter zaczął nalewać drinki, gdy nagle ciszę przerwał dochodzący z podjazdu ryk silnika.

- To pewnie Sonia - zauważył.

- Nie mów, że znowu będziemy musieli cieszyć się jej towarzystwem - prychnęła ciotka Cynthia i zaśmiała się nerwowo. - Dom najprawdopodobniej się rozleci. Pamela popatrzyła ostro na matkę.

- Czy ona naprawdę znowu przyjeżdża na weekend? - zapytała.

- Tak sędę - odpowiedział zdawkowo Peter i skupił się na podawaniu drinków.

Dało się słyszeć niewyraźną rozmowę i odgłos zamykanych drzwi. Mniej więcej po dziesięciu minutach do salonu weszła Sonia, prowadząc ze sobą Pierre'a. Wuj Harold wyprostował się i wysunął brodę. W jego oczach widać było wyraźną niechęć.

Pierre miał na sobie wytartą tweedową marynarkę i lawendową koszulę, która niezbyt pasowała do całości.

Widząc, jakie wrażenie zrobiło na rodzinie jego pojawienie się, Sonia uśmiechnęła się promieniście.

- Ciociu Cynthio, wujku Haroldzie, Pamelu, przedstawiam wam mojego męża, Pierre'a.

Pierre uklonił się oficjalnie. Jego złoty kolczyk zabłyszczał w świetle lampy. Wuj Harold westchnął ciężko.

- Coś podobnego, Sonia wyszła za mąż... - nie mówił dalej; usiadł i przebiegłym wzrokiem lustrował Pierre'a.

Ciotka Cynthia, przyglądając mu się z niesmakiem, obojętnie skinęła głową. Oczy Pierre'a pociemniały.

- Jakież to romantyczne! - zawołała wylewnie Pamela i ucałowała Sonię. Wyglądała na wyjątkowo uszczęśliwioną tą wiadomością. - Peter, kochanie - ciągnęła. - Otwórz szampana. Trzeba to uczcić!

Sonia mrugnęła do Melissy.

- Koniecznie!

Peter sięgnął do ukrytej za boazerią lodówki. Wszyscy wzniesli toast, aby uczcić młodą parę.

Nie pozostało nic z ponurego nastroju z zeszłego tygodnia. Sonia szczebiotała wesoło i promieniowała radością, jej szczęście rozjaśniało całą jadalnię.

- Muszę przyznać, że w tym tygodniu jesteś w dużo lepszym nastroju - zamruczał wuj.

- To z powodu towarzystwa - wyjaśniła z szerokim uśmiechem Sonia.

Po obiedzie wrócili do salonu na kawę. Pamela demonstracyjnie zeszła Melissie z drogi; za wszelką cenę starała się pokazać, jak bardzo obecność kogoś obcego w rodzinie jest niemile widziana. Melissa starała się nie dać znać po sobie, jak bardzo niedelikatność dziewczyny ją zirytowała. Niebieskie oczy Soni zaczęły niebezpiecznie ciskać błyskawice, ale właśnie wtedy

Peter usiadł obok swojego gościa i Pamela odeszła nadąsana.

Wuj Harold wypytywał Pierre'a o jego przeszłość.

- Praca? - powiedział Pierre z zagadkowym akcentem. - Uważam za głupotę to, że ludzie przepracowują całe życie.

- Więc w jaki sposób zamierzasz utrzymywać żonę? - zapytała opryskliwie ciotka Cynthia.

- Przecież Sonia będzie pracować. Gdyby oboje małżonkowie pracowali, mogłoby to spowodować poważne problemy.

Melissa zobaczyła, że siedzący na sąsiednim krześle Peter z trudem stara się opanować rozbawienie. Jej wzrok spotkał się z niebieskimi, roziskrzonymi wesołością oczami Soni, która mrugnęła do niej. Dopóki nie odwróciła się, eksponując nagie plecy, wydawało się, że wygląda wyjątkowo skromnie w czarnej sukni z wysokim koronkowym kołnierzykiem.

- Oczywiście, wujku. - Jej drwiący głos dźwięczał w cichym pokoju. - Byłoby dużo lepiej, gdyby Pierre miał jakiś dochodowy interes. To wzbudziłoby powszechny szacunek, w przeciwieństwie do życia na utrzymaniu żony, nieprawdaż?

Twarz wuja Harolda pociemniała; stała się brzydka i bordowa ze złości. Utkwił w niej pełne wściekłości spojrzenie, ale Sonia odwróciła się do niego plecami i uklękła przy kredensie koło kominka.

- Powinny być gdzieś tutaj taśmy - wyjaśniła Pierre'owi. - To miejsce trzeba koniecznie ożywić.

Znalazła je wreszcie. Włożyła kasetę do magnetofonu i wkrótce rytmiczne dźwięki bolera zagłuszyły zrzęczenie wuja. Wtedy też prawie niewidoczne wąskie drzwi w bocznej ścianie otworzyły się i do salonu weszła pielęgniarka.

Zwróciła się tylko do Soni. Wyglądała na bardziej zmęczoną, niż podczas ostatniego pobytu Melissy. Ciemne sińce pod oczami nadawały jej twarzy niezdrowy, ołowiany odcień.

- Pani Hamilton prosi panienkę na chwilę, panno Soniu.

Sonia popatrzyła na Pierre'a. Uśmiechnął się, aby dodać jej otuchy. W chwilę później opuściła pokój, podążając za pielęgniarką.

Davenportowie odprowadzali ją wzrokiem; zwłaszcza wuj miał wyjątkowo nieprzyjemny wyraz twarzy.

Peter, nadal z błyskiem rozbawienia w oczach, zaczął wypytywać Pierre'a o zalety jego sportowego samochodu.

Pamela włączyła się do rozmowy, lecz jej rodzice nadal byli pogrążeni w ponurym milczeniu.

Niebawem Sonia wróciła do pokoju z roziskrzonym wzrokiem. Wyglądała na szczęśliwą, więc Melissa mogła przypuszczać, że w końcu pogodziła się z babką. Dziewczyna szepnęła coś do ucha Pierre'owi, wzięła go za rękę i wyprowadziła.

- To na pewno zabije staruszkę - syknęła ciotka Cynthia, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

- Tak, nie wróży jej to niczego dobrego - przesądził wuj Harold z ponurą satysfakcją. - Takie "nic", bez grosza przy duszy.

- Czy ja wiem - zadrwiła Pamela. - Może to w końcu zmusi ją, żeby była uprzejma wobec babki.

Melissa gwałtownie zaczerpnęła powietrza, ale Peter poklepał uspokajająco jej dłoń. Spuściła wzrok, widząc jego nie ukrywane rozbawienie.

Zastanawiała się, dlaczego nie usiłował bronić Soni. Wydawało jej się dziwne, że mógł nieporuszony słuchać docinków Davenportów. Muzyka ożywiła się; z taśmy popłynęły dźwięki tanga.

- Ścis� ten hałas, Pamelu - polecił wuj Harold. - Zawsze, kiedy Sonia się tu zjawia, w całym domu jest zgiełk.

Pamela była jeszcze przy magnetofonie, kiedy do pokoju ponownie weszła Sonia, a za nią spokojny i zadowolony Pierre.

- Tu jest jak w kostnicy. Czemu wszyscy jesteśmy tacy sztywni? - zapytała. Obróciła się i nastawiła głośniej magnetofon, kołysząc biodrami i pstrykając palcami.

- Tylko ty możesz tańczyć, kiedy obok leży umierająca babka - zaczął zrędzić wuj.

Sonia wyprostowała się i popatrzyła na niego. Wuj Harold skurczył się pod jej drwiącym spojrzeniem.

- Nie wiadomo, co ją wcześniej wpędzi do grobu: ta muzyka czy twoje sapanie utuczonego pekińczyka - odparła zadowolona.

- Nie masz prawa tak zwracać się do wujka! - rzuciła Cynthia lodowato. Gdy z taśmy zaczęły płynąć dźwięki walca, Sonia znalazła się w ramionach Pierre'a. Ciotka zrobiła się purpurowa ze złości.

- Ty bezczelna smarkulo! Nie będziesz się tak głośno zachowywać, kiedy...

Jej mąż nachylił się i złapał ją za ramię. Cynthia zamilkła.

- To mój taniec, jak sądzę - zamruczał Peter, pomagając Melissie wstać. Melissa, która zupełnie zdezorientowana obserwowała tę wymianę zdań, podniosła się bez słowa. Nie wiedziała, jak powinna się zachowywać. Wyglądało na to, że konwencjonalne zasady zachowania nie są tu respektowane.

Peter zręcznie usunął się na bok, aby uniknąć zderzenia z Pierre'em wykonującym właśnie piruet. Zdawać by się mogło, że Pierre na oczekaniu

wymyśla nowe kroki. Peter pociągnął Melissę na zalany księżycowym światłem taras.

Kątem oka dostrzegła tamtych dwoje, wyglądających jak podczas odprawiania jakiegoś rytuału, pełne dezaprobaty twarze Davenportów i wściekłość w oczach Pameli. Teraz popłynęły dźwięki starej piosenki miłosnej. Nagle jej złe samopoczucie, wywołane nieprzyjemną scysją, minęło. Czowała tylko zimne powietrze na rozgrzanych policzkach i obejmujące ją ciepłe ramię Petera.

- Tutaj jest dużo przyjemniej - szepnął.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Ta chwila, pełna księżycowej poświaty i muzyki, wydawała się niebezpieczna. Czy było to tylko złudzenie, czy wszystko działa się naprawdę?

- Kiedy się zakochasz, będziesz o tym wiedzieć - przypomniała sobie słowa matki.

Przestała tańczyć i popatrzyła Peterowi prosto w oczy. To było takie proste! Wyraz zaskoczenia pojawił się na chwilę na jego twarzy.

Objął ją mocniej i Melissa znowu znalazła się w tym pozbawionym czasu świecie.

Wyszeptał coś, czego nie zrozumiała; potem jego wargi przylgnęły do jej ust. Melissa objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek. Wzmagające się tętno i ogarniająca ją radość powiedziały wszystko! Właśnie tak to sobie wyobrażała - tylko ich dwoje w świetle księżyca.

Muzyka skończyła się i Peter nagle rozluźnił uścisk. Poczowała drzenie jego ramion.

- Ty i światło księżyca jesteście niebezpiecznym połączeniem, Melisso.

Spoglądała na niego w milczeniu, ciągle drząc z podniecenia. Twarz Petera była teraz zmartwiona, napięta i odległa. Melissa gwałtownie otrzeźwiała. Po raz kolejny zrobiła z siebie idiotkę, z głębi serca reagując na jeden przypadkowy pocałunek. Muzyka zaczęła znowu grać.

W sekundzie ciszy doświadczyła doznań całego życia: miłości, poniżenia i niespełnienia.

Odwróciła się bez słowa i odeszła w kierunku strumienia światła, sączącego się przez uchylone drzwi.

Sonia i Pierre tańczyli właśnie jakąś skomplikowaną wersję tanga. Melissa powoli podeszła do krzesła w rogu pokoju i zaczęła się im przyglądać, próbując uciszyć emocje...

Czuła, że ogarnia ją bezdenna rozpacz; dławiło ją w gardle. Dlaczego te pocałunki znaczyły dla niej tak wiele, że w chwilach, kiedy był blisko, porzucała nawet swoje zasady? Żałowała, że nie ma żadnej wymówki, aby jak najszybciej wrócić do domu i dalej się nie kompromitować.

Peter podszedł do Pameli, wyciągnął dłoń i poprosił do tańca. Melissa obserwowała z kamiennym wyrazem twarzy, jak Pamela tuli się, a jej gibkie ciało doskonale z nim współgra. Wyglądali na parę, która robi to nie po raz pierwszy.

- Tak ładnie wyglądają - powiedziała ciotka. Jej twarz wypogodziła się; malował się teraz na niej wyraz pewności siebie i zadowolenia. Wychyliła się z krzesła i trąciła Melissę, żeby zwrócić jej uwagę na tańczącą parę.

- Tak - zgodziła się bezbarwnym głosem Melissa.

Stanowili dobrze dobraną parę; oboje byli wysocy i razem poruszali się w tańcu z łatwością, jaką dają wieloletnie ćwiczenia.

- Pobiorą się. - Robiąc tę uwagę, ciotka Cynthia rzuciła Melissie ostre spojrzenie.

- Jestem pewna, że Pamela będzie uroczą panną młodą - wycodziła przez zaciśnięte zęby dziewczyna.

- Pani Hamilton zawsze sobie tego życzyła - ciągnęła z błogim uśmiechem ciotka.

Wiedziała, że dziewczyna, którą przywiózł Peter, siedząca teraz z pobladałą twarzą i zrozpaczonymi szarymi oczami, nie będzie mogła stawić czoła

Pameli i nie sprawi żadnych niespodzianek. Prawdopodobnie zaproszono ją, bo była współlokatorką Soni, a nie dlatego, że Peter Darcy był nią zainteresowany.

Muzyka grała cały czas. Melissa czuła oszałamiający ból. Peter nigdy niczego jej nie obiecywał, więc dlaczego tak bardzo cierpiała?

- Melisso! - zawołała zaniepokojonym głosem Sonia. - Jesteś blada jak śmierć, kochanie. Dobrze się czujesz?

Melissa spojrzała na zatroskaną twarz przyjaciółki. Nie mogła dopuścić do tego, żeby Sonia nabrała jakichkolwiek podejrzeń co do uczuć, jakie żywiła wobec Petera. Z trudem zmusiła się do uśmiechu.

- To wasze tango tak mnie oszołomiło.

Sonia odetchnęła z ulgą i odwróciła się, żeby poszperać w kolekcji taśm, ale Pierre ją zatrzymał.

- Chyba już trochę za późno na tańce. Ona wygląda na zmęczoną.

Sonia wydeła wargi, ale odłożyła kasetę do pudełka i wyłączyła magnetofon. Davenportowie ziewnęli i wstali z krzeseł, a Pamela wychodząc uśmiechnęła się słodko do Petera. Pierre odwrócił się, aby porozmawiać z Melissą, która zastanawiała się, co takiego może jej powiedzieć. Lecz on, razem z Sonią, wciągnął ją po schodach na górę.

- Chodź, kochanie. Koniecznie musisz dobrze się wyspać.

Posłała im wymuszony uśmiech. Kiedy zniknęli w błękitnej sypialni Soni, poszła na palcach do uroczego złotego pokoju z wielkim rzeźbionym łóżem. Zamknęła drzwi i poczuła ulgę. Tak dobrze być znowu samą!

Odsunęła zasłony i stanęła w oknie, spoglądając na oblany księżycowym światłem ogród. Wszystko zatopione było w spokojnej srebrzystej poświacie; drzewa i krzewy rzucały czarne cienie, a krajobraz wyglądał jak papierowa wycinanka w srebrze i czerni.

To niebezpieczne, zdradliwe światło wyzwalało emocje nie do opanowania. Dlaczego zakochała się tak mocno w kimś, kogo nie obchodziła?

Jej uczucia do Boba nie były nawet marną imitacją tej szalonej gorączki, jaka rozpaliała jej wnętrze.

Przede wszystkim, dlaczego pozwoliła wplątać się w tę intrygę? Twarz Petera Darcy jak żywa stanęła jej przed oczami. Jego zazwyczaj chłodne i rozważne oczy emanowały ciepłem i zrozumieniem, a twarz stawała się powoli czuła i łagodna. Wspomnienia zadawały jej ból, mimo że na myśl o jego pocałunkach ogarniało ją uniesienie. Starła się tak bardzo być rozsądną, ale z rozpaczą stwierdziła, że nie potrafi zapanować nad swoimi emocjami.

Przebiegł ją dreszcz, czuła się chora. Pospiesznie rozebrała się i wsunęła pod kołdrę, kryjąc rozpaloną głowę przed niebezpiecznym światłem księżyca.

Pragnęła, aby ten koszmary weekend wreszcie się skończył.

Pomimo dokuczającego smutku poczuła się senna. Pomyślała o jeszcze jednej osobie; oczami wyobraźni zobaczyła dawną właścicielkę szafirowej broszki. Lady Carstairs kochała gorąco, nie kierowała się w miłości wyrachowaniem i żyła pełnią życia. W jakiś sposób myśl o tej twarzy uspokajała ją i podnosiła na duchu. W końcu zapadła w sen.

ROZDZIAŁ VII

Delikatne pukanie do drzwi wyrwało ją z pokrzepiającego snu. Była to ta sama dziewczyna, która tydzień temu przyniosła śniadanie. Melissa uśmiechnęła się z podziękowaniem, zabierając od niej tacę. Pomyślała, że jedzenie śniadania w łóżku musiało być zwyczajem w tym domu.

Kiedy pochłonęła stertę kielbasek, jajek i pomidorów, oparła się o poduszkę i nad filiżanką kawy zatopiła w marzeniach. Wyniosła twarz lady Carstairs z szafirową broszką zapadła trwale w jej pamięci.

Doszła do wniosku, że może się wiele nauczyć od tej twarzy. Aby panować nad uczuciami, każda kobieta potrzebuje poczucia godności i pewności siebie. Od tej chwili zamierzała traktować Petera ze zdrowym rozsądkiem i zachowywać wobec niego pełny dystans.

Po kąpieli włożyła nową kloszową spódnicę w niebiesko-złotą kratę, jasnocytrynowy sweter oraz czarne pantofle z miękkiej skóry.

Zrobiwszy makijaż, z zadowoleniem spojrzała na swe odbicie w lustrze. Była pogodna, a jej oczy błyszczały. Nie przypominała szarej i ponurej istoty, która zeszłej nocy zrozpaczona i pokonana ledwo dowlokła się do łóżka.

Zeszła na dół. W domu panowała cisza, jakby wszyscy spali, tylko z kuchni dochodził szmer rozmowy. Kiedy popatrzyła w tamtym kierunku, drzwi otworzyły się i ta sama, nieśmiało uśmiechająca się dziewczyna przemknęła obok, niosąc następną tacę ze śniadaniem.

Poczuła się zakłopotana tym, że tak wcześnie wstała. Ukradkiem poszła w głąb korytarza, postanawiając wymknąć się do ogrodu i dokładnie go obejrzeć. Już miała otworzyć drzwi na dziedziniec, gdy odruchowo zatrzymała się na widok spiralnych schodów.

Weszła na nie. Długi krużganek tonął w półmroku. Spojrzała na okna, zasłonięte ciężkimi pluszowymi kotarami, i przygryzła wargę. Z pewnością nikt nie będzie mieć nic przeciwko temu, jeśli uchyli je trochę. Nie widziała w tym

nic złego. Chciała tylko jeszcze raz dokładniej przyjrzeć się twarzy na portrecie. Zaczynała intrygować ją coraz bardziej, nie wiadomo, czy z powodu opowieści Petera czy dzięki sile, jaką uchwycił w jej twarzy malarz.

Odsloniła wszystkie kotary w galerii i poranne światło wpłynęło do środka przez cztery wysokie okna. Z uczuciem satysfakcji odwróciła się, by obejrzeć portret.

Kiedy przyjrzała mu się dokładniej, odkryła, że podobieństwo do Soni jest mniejsze, niż wcześniej sądziła. Było trudne do uchwycenia; być może istniało w lekkim uniesieniu głowy lub w takim samym wyrazie rozbawionych oczu. Pomimo miękkiej okrągłości policzków, która nadawała twarzy młodzieńczy wyraz, lady Carstairs emanowała siłą charakteru, widoczną w opanowanym spojrzeniu i zaciśniętych ustach.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę.

Melissa odwróciła się gwałtownie. Przyglądanie się portretowi tak ją pochłonęło, że nie usłyszała w ogóle Petera. Tego ranka miał na sobie spodnie i golf.

- Jesteś dzisiaj nieuchwytna - mówił dalej. - Służba myślała, że wyszłaś, a ja przeszukałem nawet ogród.

Miał w oczach zagadkowy błysk. Zbliżył się, a serce Melissy zaczęło bić mocniej.

- Przestań marszczyć brwi, myszko. Podobieństwo jest zbyt niebezpieczne. - Objął ją ramieniem i poprowadził z powrotem schodami w dół.

- Może poszlibyśmy na spacer? Po powrocie przedstawię cię babce.

- Myślisz, że mnie rozpozna? - Serce waliło jej jak młotem; ogarnęła ją zdradliwa słabość. Próbowwała odsunąć się od niego.

- To raczej niemożliwe - odpowiedział Peter, przyciskając ją mocniej do siebie. - Teraz jest u niej Sonia, a babka szybko traci siły.

Melissa przestała siłować się z nieprzejednanym ramieniem, przytrzymującym ją tak mocno. Peter przytulał ją do siebie, jakby się bał, że

zaraz zniknie. Szybko zdecydowała, że tylko pełna dystansu godność może ją uratować. Będzie udawać, że ignoruje jego bliskość.

Mimo kpiarskiego tonu w głosie Petera pojawiała się gorzka nuta. Melissa zastanawiała się, czy popychano go do małżeństwa z Pamelą, aby uszczęśliwić babkę, czy może i tak by ją poślubił w celu przejęcia kontroli nad rodzinnym interesem. Czy myślał choć trochę o niej? To, że szli teraz tak blisko siebie, nie było dla niej żadną rękojmą.

Mijali właśnie różany ogród; wiejący wiatr przyniósł intensywny i słodki zapach kwiatów. Kręta ścieżka teraz biegła obok rododendronów. Kamiennymi schodami zeszli do ogrodu, z którego rozciągał się widok na wybrzeże. Spacerowali spleceni uściskiem. "Jak zakochani" - pomyślała, kpiąc z siebie, Melissa. Zamierzała zbiec ścieżką w dół na plażę.

Przedtem jednak rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Sposób, w jaki na nią patrzył, był peszący. Zatrzymał ją na ścieżce, a jego bliskość sprawiła, że zapomniała o wszystkich postanowieniach. Zastanawiała się, czy odczuwał ciepło bijące z jej ciała. Drżały jej palce, kolana miała jak z waty i odczuwała ucisk w żołądku. Wiedziała, że jej policzki zalał rumieniec.

Udało się jej w końcu zebrać myśli. Dlaczego powtórzył za Sonią zaproszenie Melissy do Pengleat House, skoro interesował się Pamelą? Czy była to tylko uprzejmość z jego strony czy rzeczywiście chciał, żeby przyjechała?

Z powodu odpływu szeroka przestrzeń plaży, jaka rozpościerała się przed nimi, pokryła się okrągłymi kamykami. Słońce wyzierało przez poszarpane, szybko przepływające po niebie chmury. Mokra plaża i kamienie połyskiwały w przesuwających się po nich snopach światła. Wiał świeży, orzeźwiający wiatr. Czowała, że jego podmuchy rozwiewają wszystkie obawy, a wraz z nimi solenne i rozsądne postanowienia.

Zdjął rękę z ramienia i chwycił jej dłoń. Nie był już pochmurnym i tajemniczym mężczyzną, przed którym postanowiła mieć się na baczności. Oczy

miał beztroskie i wesołe, a napięcie i cienie zniknęły mu z twarzy, która stała się pogodna i młodzieńcza.

- Chodź - zachęcił ją. - Melisso, przedstawiam ci moją ulubioną plażę. Plaży, oto moja ulubiona Melissa.

Pobiegli brzegiem, trzymając się za ręce. Podmuchy wiatru zaróżowiły jej policzki i rozwiały włosy; w szarych oczach tańczyła radość. Przez moment poczuła się jednak winna. Przecież ojciec leżał pogrążony w śmiertelnej śpiączce, a babka Petera była umierająca. Ale gdy spojrzała w jego wesołe zielone oczy, śmierć i tragedia zniknęły błyskawicznie.

Śmiała się szczerze, kiedy Peter zatrzymał się, aby pokazać jej swoją ulubioną zatokę piracką.

- Przekopałem każdy centymetr tej plaży w przekonaniu, że gdzieś tutaj zakopany został skarb.

- Tam jest skarb, gdzie serce twoje - powiedziała uroczyście Melissa.

- To bardzo wyświechtany i nic nie znaczący komunał, panno Morris. Takie rzeczy można mówić pierwszej z brzegu naiwnej ośmiolatce.

Szli dalej, wspinając się na skały i przyglądając się kałużom. Wybrzeże było zupełnie opustoszałe. Byli jakby dwójką pierwszych ludzi, osamotnionych w dopiero co stworzonym wszechświecie. "Czas chyba został zaczarowany" - pomyślała Melissa z rozmarzeniem.

- Pora wracać - powiedział Peter.

Szli z powrotem po kamiennej plaży. Przed nimi wyrastało strome urwisko, jak gdyby stojące na straży ich świata. Melissa popatrzyła na Petera. Szła obok, z dłonią w jego ciepłej ręce. Głowę miał uniesioną wysoko, twarz spokojną. Nie wyglądał na człowieka, który ma kłopoty. Przez całą drogę nie odezwał się do niej ani słowem.

- Jest tak cicho - westchnęła.

Spojrzał na nią.

- To dobre miejsce na uporządkowanie myśli - zgodził się.

Woda niemal obmywała jego stopy, podpływając leniwymi falami. Peter pociągnął Melissę bliżej urwiska i uśmiechnął się.

- Złapie nas przyływ. Mówią, że nie czeka na człowieka.

- To czas nie czeka - poprawiła go Melissa.

- Masz rację, myszko. Uciekajmy więc.

Pobiegli do miejsca, gdzie pas plaży zaczął się zwązać. Peter pomógł jej wspiąć się na ostatnią skałę, która oddzielała ścieżkę od zatoki. Melissa nie mogła złapać tchu i śmiała się.

- Popatrz - powiedział.

Woda powoli wpływała do zatoki i wkradała się coraz dalej w głąb wybrzeża, łagodnie uderzając o skały. Po kilku chwilach rozmyła wszystkie ślady, jakie po nich zostały.

Melissa zadygotała. Peter spojrzał na nią zatroskany.

- Zatrzymałem cię zbyt długo. Zimno ci?

Melissa przytuliła się do niego. Rozmycie przez fale śladów ich stóp odczytała jako znak. Wątpliwości dotyczące Petera ogarnęły ją z jeszcze większą mocą. Spędzanie z nim czasu niczego nie wyjaśniało, sprawiało jedynie, że coraz trudniej było podjąć decyzję.

Na kamiennej ławie, spoglądając na morze, czekała Pamela. Dociekliwie przyglądała się Melissie, jakby właśnie widziała ją po raz pierwszy.

Badawczo lustrowała jej twarz z lekko zaróżowionymi policzkami, błyszczące brązowe włosy ze złotym poblaskiem, wydobytym przez słońce, i promieniejące szczęściem wielkie szare oczy.

Widząc jej niechęć, Melissa poczuła się nagle skrępowana. Pod chłodnym wzrokiem Pameli rumieńce zniknęły z jej twarzy, a oczy przestały błyszczeć pomimo kolorowego stroju. Znowu wyglądała bezbarwnie i żalobnie. Tamta zaś rozluźniła się, pewna siebie, jakby jej wątpliwości rozproszyły się.

- Peter, kochanie - powiedziała. - Babcia pytała o ciebie.

- Dobrze, zabiorę Melisę na górę, żeby ją przedstawić - zgodził się spokojnym głosem. Wydawał się nie zauważyć badawczego spojrzenia Pameli i tego, że Melissa tak nagle przygasła.

- Najrozsądniej byłoby odłożyć to na później. Babka zbyt źle się czuje.

- Tak przypuszczam - zgodził się zamyślony Peter. - Zobaczymy się w domu - obiecał Melissie.

Odwrócił się do dziewcząt plecami i pobiegł ścieżką pod górę. Cisza przeciągała się. Wreszcie...

- Myślę, że marnujesz tu czas, Melisso.

To, co miała na myśli Pamela, było jednoznaczne. Melissa poczuła, że zdradliwy rumieniec oblewa jej policzki. Żałowała, że nie ma tak ciętego języka jak Sonia. Kiedy obrzucały się spojrzeniami, stojąc naprzeciwko siebie, szare oczy Melissy stały się naraz poważne. Postanowiła nie poddać się tak łatwo.

- Uważam, że to moja sprawa!

Pamela zacięła usta, odwróciła się i bez odpowiedzi poszła ścieżką w górę. Melissa też ruszyła w kierunku domu, wybierając inną drogę.

Ale obiad nie był jeszcze gotowy i nie chciała zbyt wcześnie się tam pojawiać.

Obejrzała letni domek i poszła krętą, zarośniętą ścieżką, która doprowadziła ją przed frontowy podjazd. Zawahała się przez chwilę, przystanąwszy przy gęstym krzewie. Teren przed domem był zadbany i elegancki w porównaniu z zarośniętym ogrodem z tyłu, ale brakowało tu kęp kwiatów rozmieszczonych, jak w tamtym, w nieoczekiwanych miejscach.

Prawie zabytkowy, ale dobrze utrzymany packard stał zaparkowany przed domem. Melissa z rozbawieniem zaczęła się mu przyglądać. Przedwojenny automobil był w doskonałym stanie; czarna karoseria błyszczała, a podnożki były tak solidne, jak w dniu, w którym je zamontowano. Do maski nowymi rzemieniami przymocowany był akumulator. Melissa przeszła do przodu, żeby mu się dokładniej przyjrzeć. Nagle frontowe drzwi otworzyły się i pojawiła się

w nich ciężka postać wuja Harolda. Dziewczyna cofnęła się w zarośla. Właściwie nie miała powodu, żeby się ukrywać, ale myśl o bardzo prawdopodobnych obcesowych pytaniach niesympatycznego mężczyzny napełniała ją niechęcią.

Odprowadzał do samochodu zgarbionego staruszka w dobrze skrojonym ciemnym garniturze i lustrzanych okularach w drucianych oprawkach. Kiedy starszy pan odjechał, Melissa pomyślała, że był takim samym zabytkiem, jak jego pojazd. Samochód prychając skręcił w aleję prowadzącą do bramy wyjazdowej. Wuj Harold patrzył za nim przez chwilę, zacierając ręce, po czym wszedł do środka i zatrzasnął drzwi.

Staruszek minął Melisę na zakręcie. Intensywnie wpatrywał się krótkowzrocznymi oczami w drogę przed sobą. Cofnęła się gwałtownie, aby jej nie zauważył. Samochód uporał się ze wszystkimi zakrętami długiej alei i prawie zatrzymał się przy bramie. Dziewczyna usłyszała za sobą odgłos szybkich kroków. Obejrzała się i zauważyła rozgorączkowaną twarz pielęgniarki, biegnącej z nieoczekiwaną zwinnością. Moffat zniknęła za zaroślami. Melissa postanowiła zrobić kilka kroków, żeby zobaczyć, dokąd pielęgniarka tak się śpieszy.

Archaiczny automobil zatrzymał się na dobre, staruszek wychylił głowę przez okienko i mówił coś do Moffat. Melissa zmarszczyła brwi, zdziwiona tą zagadkową sceną. Każdy gest pielęgniarki wyrażał pośpiech.

Samochód cofnął się aż do linii zarośli. Starszy jegomość pojawił się znowu, niosąc skórzaną walizkę. Wziął pielęgniarkę pod rękę i oboje zniknęli po drugiej stronie alei.

Nagle usłyszała za sobą chichot Soni. Odwróciła się. Wraz z Pierre'em szła pod górę ścieżką. Oboje przyciągali wzrok swoim wyglądem: Sonia miała na sobie obcisły jaskrawożółty kostium, a Pierre błyszczącą koszulę z pomarańczowego jedwabiu, wypuszczoną na wytarte dzinsy.

- Szukaliśmy cię, kochanie! - wykrzyknęła Sonia. - Peter powiedział, że zostawił cię w ogrodzie. - Przyjaźnie otoczyła Melissę ramieniem i poszły w kierunku domu.

- Dokąd idziemy? - zapytała Melissa. Znowu poczuła nagłą niechęć przed spotkaniem się twarzą w twarz z Davenportami.

- Czas na obiad. - Sonia pchnięciem otworzyła drzwi i cała trójka weszła do jadalni. Wuj Harold był w wyśmienitym nastroju, a pojawienie się Soni ucieszyło go jeszcze bardziej. Skoro tylko przeszła przez drzwi, zatarł ręce i sapnął, niedbale udając śmiech.

- Czy pokazałaś już mężowi stary park, w którym będziemy składać odpadki przemysłowe? - zapytał.

Sonia uśmiechnęła się do niego.

- Każdy centymetr, wuju, i nie licz na to, że zrobisz z niego śmietnisko! - powiedziała.

Ta odpowiedź zaskoczyła go, bo sapnął znowu, a jego żona posłała mu ostre spojrzenie.

Pierre wysunął dziewczętom krzesła. Melissa usiadła ze spuszczonej oczami i rozłożyła serwetkę. Zauważyła dwa puste miejsca przy stole i była ciekawa, czy Peter ciągle jeszcze jest u babki, czy może poszedł gdzieś razem z Pamelą. Nie potrafiła myśleć o tym obojętnie.

Zjadła obiad w milczeniu. Po posiłku wszyscy przeszli do przytulnego salonu. Sonia nalewała kawę i podawała filiżanki. Melissa usiadła. Ogarnęła ją rozpacz. Pierre mrugnął do niej i zmusił do bladego uśmiechu. Wuj Harold popatrzył na masywny kieszonkowy zegarek i wydał wargi.

- Gdzie jest Pamela? - zaczął zrzędzić. - Całe to spóźnianie się na posiłki jest po prostu niegrzeczne.

Jego żona wyglądała na zadowoloną.

- Poszła z Peterem na spacer. Wiesz przecież, jacy są dzisiaj młodzi.

Melissa miała twarz bez wyrazu. Z przesadną dokładnością zbyt długo mieszała kawę. Przypomniła sobie szczebioczący głos Pameli, gdy zwracała się do Petera, i sposób, w jaki jej oczy za nim błędziły. Rodzina założyła, że się pobiorą. A jednak ten ranek Peter spędził z nią.

Melissa cichutko westchnęła. Jego zachowanie było takie niekonsekwentne.

Zauważyła, że Sonia obserwuje ją zamyślonym wzrokiem.

- Nie sądzę, żeby Pamela go uprowadziła - powiedziała sucho. - Jeśli nie przyjdzie do naszego wyjazdu, wrócisz z nami, kochanie.

Melissa zmusiła się do uśmiechu, dziękując jej za tę propozycję. Nie miała pojęcia, czemu czuje się tak bardzo rozczarowana. To było w stylu Petera, zabrać dokądś Pamelę i zapomnieć o upływie czasu. Nagle usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi i głosy... Serce Melissy zaczęło bić szybciej, jej twarz rozjaśniła się, kiedy spoglądała w kierunku drzwi.

Pamela, z podniesioną głową, weszła pierwsza. Była zadowolona i uśmiechała się do Petera, który szedł za nią. Miał także pogodną, lecz nie do odszyfrowania twarz. Rozejrzył się po pokoju i uśmiechnął do Melissy.

Pamela podeszła do kominka i wycedziła wymuszone przeprosiny. Peter zabrał ją, żeby pokazać nowy mur wsporny, który dopiero co został wybudowany. Miała pewne wątpliwości co do dokumentacji przedsiębiorstwa budowlanego, które wykonywało roboty, i chciała sprawdzić to osobiście. A droga powrotna tak bardzo się dłużyła. Patrzyła na Melissę oczami pełnymi triumfu.

Ale jej ojciec nie wyglądał na udobruchanego.

- Powinnaś patrzeć na zegarek!

- Patrzyłam - powiedziała Pamela.

Wymienili krótkie spojrzenia.

Nagle Melissa doznała dziwnego wrażenia, że jego pretensje były udane, wygłaszane specjalnie na użytek widowni.

Każda bruzda na jego twarzy pogłębiła się w nieprzyjemnym triumfie, którym się napawał, gdy Sonia przyszła na obiad.

- To nie ma znaczenia. - Ciotka Cynthia również miała na twarzy pełen satysfakcji uśmiezek.

Peter nonszalancko przeszedł przez pokój i dał kuksańca Soni, która uśmiechnęła się promiennie. Pierre zauważył tę wymianę znaków i patrzył zaintrygowany. Melissa zastanawiała się poirytowana, jakie tym razem odgrywali przedstawienie.

Za drzwiami słychać było szmer głosów. Peter szybko otworzył je. Wzrok Melissy spotkał się z ponurym spojrzeniem pielęgniarki, obok której stał białowłosy, przysadzisty i rumiany jegomość.

- Jestem doktor Patey. - Skrzypienie zamykanych drzwi przytłumiło jego głos,

Sonia zaniepokoiła się.

- Babcia na pewno ma następny atak.

Wuj Harold, który właśnie podnosił się, usiadł z powrotem. Jego żona oparła głowę o wysokie oparcie krzesła, na którym siedziała.

Sonia przytuliła się mocniej do Pierre'a, jakby chciała, aby pocieszył ją. Jej twarz była śmiertelnie poważna i strapiona.

- Przecież jest taka silna! - powiedziała, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Nie jest już tak młoda jak dawniej. - W tonie głosu ciotki wyraźnie zabrzmiała złośliwa przygana.

W pokoju zapadła pełna napięcia i oczekiwana cisza. Reszta rodziny wydawała się doprowadzona do białej gorączki. Zza drzwi dochodziły odgłosy pospiesznych kroków i szmery rozmów. Ludzie wchodzili i schodzili po schodach tam i z powrotem. Popołudnie niezdolnie ciągnęło się, wszyscy czekali i nasłuchiwali. Wrócił Peter; był zmęczony i przygnębiony. Wodził smutnym wzrokiem po pokoju.

- Bardzo źle z nią. Chce się z tobą zobaczyć, Soniu - polecił szorstko.
Sonia wyciągnęła za sobą Pierre'a.

- A on tam po co? - zapytał z pretensją w głosie wuj Harold. Na chwilę jego triumf przygasł, a usta wyduły się gniewnie.

Melissa patrzyła, jak pełen złości wysunął szczękę, i nie po raz pierwszy stwierdziła, że zachowuje się i mówi w wyjątkowo nieprzyjemny sposób. Ku swojemu zaskoczeniu usłyszała, jak mu odpowiada.

- Jest jej mężem. Dlaczego nie miałyby zabrać go ze sobą?

Wuj umilkł. Po chwili wróciła Sonia. Pełen napięcia wyraz zniknął już z jej twarzy; była spokojna, mimo że na policzkach widniały łzy. Pierre stał przy niej i patrzył na nią współczująco.

- Chce poznać twojego gościa, Peter - oznajmił.

Pamela gwałtownie zrobiła wdech; w ciszy, która panowała, zabrzmiało to nienaturalnie głośno. Gdy Melissa wychodziła z Peterem z pokoju, czuła na sobie ostre, podejrzliwe spojrzenie całej trójki Davenportów.

- Dlaczego twoja babka chce się ze mną zobaczyć? - spytała Petera, kiedy krętymi schodami wchodzili na górę.

- Jest ciebie ciekawa - powiedział z uśmiechem.

Melissa rzuciła mu ostatnie błagalne spojrzenie, ale Peter delikatnie wepchnął ją do sypialni. Pielęgniarka czekała u wezłowania łóżka; była bardzo spokojna, ale na jej twarzy malował się ogromny smutek. Lekarz bystro spojrzał na wchodzącą parę.

- Tylko chwilę - ostrzegł.

Chłopak skinął głową. Podeszli oboje do wielkiego łoża z baldachimem. Melissę uderzyła zmiana w wyglądzie starszej pani. Wyglądała jeszcze bardziej filigranowo i krucho niż zwykle, a jej rysy wyostrzyły się. Z trudem łapała każdy oddech; jej pierś podnosiła się i opadała przy każdym łyku powietrza, lecz wzrok był nadal bystry.

- Peter - wyszeptała cicho. Mówienie wyraźnie sprawiało jej ból.

- Jestem tutaj, babciu.

- Czy ożenisz się z Sonią? Ona cię kocha. - Jej szept był prawie niesłyszalny.

- Oczywiście, babciu. Spróbuj odpocząć.

Staruszka przymknęła oczy; w ciszy pokoju słysząc było tylko jej chrapliwy oddech.

Lekarz czekał, trzymając ją za przegub. Starsza pani otworzyła oczy i zamruwała. Popatrzyła prosto na Melisę.

- Soniu - powiedziała, nabierając powietrza.

- Tak, babciu? - odparła spokojnie Melissa.

- Czy wyjdiesz za niego? - Jej głos był tak słaby, że Melissa musiała się nad nią nachylić, żeby cokolwiek zrozumieć.

- Oczywiście, babciu - odparła.

Staruszka ponownie zamknęła oczy. Lekarz gestem nakazał im opuszczenie pokoju.

- Dobra dziewczyna - wyszeptała na koniec.

Melissa odwróciła się i uśmiechnęła, mimo że czuła spływające po policzkach łzy. Razem z Peterem zeszli na dół, ale zanim weszli do salonu, objął ją. W jego oczach dostrzegła smutek.

- Ona gaśnie. Czy możesz poczekać, Melisso?

Skinęła głową, nie mając odwagi się odezwać.

Weszła do salonu i cicho usiadła. Podążył za nią i stanął przy kominku. Zatopił się w myślach, jego twarz pociemniała.

Cierpiała razem z nim i żałowała, że nie może odgarnąć z jego posępnego czoła niesfornego kosmyka włosów i choć trochę pocieszyć. Jego twarz była teraz odległa i chłodna.

Czas mijał. Nieśmiała, drobna dziewczyna, która przyniosła jej tacę ze śniadaniem, weszła do pokoju, niosąc popołudniową herbatę. Ciotka Cynthia bez słowa podała wszystkim filiżanki. Herbatę wypito w kompletnej ciszy.

Wieczorem do jadalni wszedł lekarz. Był zmęczony i w złym humorze. Na wszystkich twarzach, zwróconych teraz ku niemu, malowało się jedno pytanie.

- Tak - powiedział z goryczą w głosie. - Tym razem mi się wymknęła.

Grzmiący głos wuja wypełnił pokój. Dołączyły się do niego komentarze ciotki Cynthii, wypowiedane kwaśnym tonem, i uwagi cedzone przez Pamele. Sonia schroniła się w ramionach Pierre'a i pogardliwie zacisnęła usta. Melissa odetchnęła z ulgą, słysząc cichy głos Petera, proponujący jej powrót do Londynu.

- Kazałem Henry'emu odwiedzić cię z powrotem - wyjaśnił. - Teraz trzeba będzie zająć się wieloma sprawami. Myślę, że powinnaś wyjechać.

Melissa posłała mu smutny uśmiech.

- Dziękuję ze weekend. Cieszę się, że mogłam poznać twoją babkę przed śmiercią. To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

W domu zrobiło się bardzo cicho. Melissa sprawdziła, czy wszystko spakowała i po raz ostatni rozejrzała się po złotym pokoju. Potem zeszła na dół.

Cichy staruszek, który podawał do stołu, nazywał się Henry. Siedział za kierownicą poobijanego mercedesa i czekał. Peter włożył walizkę do bagażnika i pomógł Melissie wsiąść do samochodu. Trzymał ją przez chwilę za rękę, wpatrując się natarczywie w jej twarz. Wiedziała, o co mu chodzi. Napięcie rosło wraz z przeciągającą się ciszą.

W końcu wzruszył ramionami i ostrożnie zamknął drzwi samochodu. Odwróciwszy się do niej plecami, wszedł na schody.

Nie mogła uwierzyć, że odesłał ją bez słowa pożegnania. Patrzyła, jak wchodził po schodach, widziała oświetloną sylwetkę stojącej w drzwiach Pameli. Za chwilę cały widok zniknął za zakrętem.

Droga powrotna dłużyła się. Kierowca był tak samo cichy w samochodzie, jak i w domu. Melissa skuliła się na tylnym siedzeniu. Jej myśli krążyły wokół jednego tematu: czy Peter miał zamiar poślubić Pamele, jak

oczekiwali tego jej rodzice? Mimo wszystko dałoby mu to dodatkowe udziały w kontrolowaniu interesów. Melissa przypomniła sobie ostre spojrzenie zielonych oczu Pameli. Co usiłował jej powiedzieć, kiedy się rozstawali?

Westchnęła. Henry zerknął szybko we wsteczne lusterko. "Jest miłą młodą panią - pomyślał - dużo sympatyczniejszą niż inne, które odwiedzały rezydencję".

- Jest pani zmęczona? Już niedługo będziemy w domu.

"W domu" - pomyślała zawiedziona. Co to znaczyło - dom? "Dom jest tam, gdzie serce twoje". Melissa wiedziała, że swoje serce zostawiła w tamtym miejscu.

Pomachała Henry'emu na pożegnanie i otworzyła drzwi do mieszkania. A więc miała już za sobą ten pełen emocji weekend, ale co osiągnęła? Jej wątpliwości nadal nie były rozwiane, wróciła do punktu wyjścia.

Zapaliła światło i podniosła zostawioną obok fotela filiżankę. "Życie toczy się dalej" - pomyślała ponuro. Ktoś kiedyś powiedział, że lepiej było kochać i przegrać, niż nie kochać w ogóle.

ROZDZIAŁ VIII

Przez następne dwa tygodnie padał deszcz, typowy dla łagodnego i wilgotnego lata w Anglii. Melissa była ponura jak szare chmury, szczelnie zasłaniające niebo nad nią. Miała wrażenie, że tylko rutyna, której się poddała, utrzymuje ją jeszcze przy życiu. Praca do wieczora, potem wyjazd do domu na niedzielę, odwiedziny w szpitalu, wyjście na cmentarz do grobu brata - tak mijały kolejne dni. Czuła się oderwana od rzeczywistości i pozbawiona kontaktów z ludźmi. Jej ojciec nadal był pogrążony w śpiączce, matka czekała, a wspomnienia o pełnym radości życia bracie wyblakły i odsunęły się w przeszłość.

Szare, podobne do siebie dni następowały jeden po drugim, ale Melissa z godnością znosiła swoją ponurą egzystencję. Często pełna tęsknoty wpatrywała się całymi wieczorami w telefon, ale nikt nie dzwonił. Zastanawiała się, co się działo po śmierci babki i usiłowała nie myśleć o tajemniczym Peterze Darcy i jego dziwnym zachowaniu podczas pożegnania.

W sobotnie popołudnie deszcz ustał. Niebo było cudownie błękitne i bezchmurne; ciepłe promienie słońca zmuszały mężczyzn do zdjęcia marynarek, a kobietom nakazywały zakładanie zwiewnych letnich sukienek.

Zadzwonił telefon.

- Kochanie, co robisz w czasie weekendu? - Wesoły, wibrujący głos Soni domagał się natychmiastowej odpowiedzi.

- Jadę do domu. Jak było na pogrzebie?

- Babci by się spodobało.

Pełne szacunku wyrazy współczucia, które chciała złożyć jej Melissa, nagle straciły sens.

Poczuła przyływ wesołości i po raz pierwszy od dwóch tygodni jej usta rozchyliły się w uśmiechu. "To w stylu Soni nie rozpaczać z powodu odejścia babki" - pomyślała. Chociaż, być może, miała rację. Starsza pani, która jeszcze

przed śmiercią ułożyła życie swojej rodzinie, była przygotowana na śmierć i prawdopodobnie podzielałaby uczucia Soni, gdyby o nich wiedziała.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytała Sonia. - Potrzebuję pomocy przy pakowaniu. Wyprowadzam się; mam do zabrania wszystkie swoje manatki. Czy Peter może zabrać cię z domu matki i przywieźć tutaj na niedzielę?

Melissa zawahała się.

Skąd to przypuszczenie, że nie miała nic lepszego do roboty, niż pędzić na łeb na szyję do Kornwalii tylko po to, żeby pomóc jej w pakowaniu? A co z Peterem? Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze - jej szare oczy wyrażały dezaprobatę. Musi powiedzieć to sobie uczciwie: nie miała nic lepszego do roboty i tęskniła za beztroską przyjaciółką i jej bezceremonialnym podejściem do problemów życiowych. Gdzieś w głębi duszy tliło się, też podstępne uczucie radości na myśl o tym, że znowu zobaczy Petera.

- Bardzo chętnie przyjadę - zgodziła się.

- Zatem do zobaczenia.

Telefon umilkł, a Melissa odłożyła z westchnieniem słuchawkę. Sonia nigdy nie przejmowała się planowaniem czasu i miejsca. Skąd i kiedy miał ją zabrać Peter?

Po obiedzie ubrała się w lawendowy kostium i nową białą bluzkę z delikatnej tkaniny, zapakowała walizkę i nagle poczuła przyływ dobrego humoru. Cudownie, że w końcu nadeszło lato i mogła nosić nowe kreacje!

Uczucie podniecenia i radości nie opuściło jej ani przez całą podróż pociągiem, ani podczas krótkiej jazdy autobusem do domu. Kiedy przyjechała, dom był pusty. Popatrzyła na ciężki stojący zegar - wskazywał późne popołudnie, odwiedziny w szpitalu już się skończyły.

Jej matka zazwyczaj o tej porze przygotowywała podwieczorek.

Zaniepokoiła się. Odkąd ojciec znalazł się w szpitalu wiele miesięcy temu, plan dnia matki nie zmieniał się. W sobotę po obiedzie szła do szpitala i

zostawała do popołudnia. Potem wracała do domu, wypijała herbatkę i szła tam znowu, żeby spędzić przy ojcu wieczór.

Postawiła walizkę i podniosła słuchawkę. Numer telefonu do szpitala leżał przed aparatem.

- Mówi Melissa Morris. Co z moim ojcem? Czy nastąpiła jakaś zmiana?

- Proszę chwilę poczekać.

Głos po drugiej stronie słuchawki był bezosobowy i obojętny. Melissa usiadła na taborecie i zaczęła przyglądać się zadrapaniu na jednym z obcasów swoich liliowych pantofli. Być może ojcu nagle się pogorszyło. Dlaczego w takim razie matka nie zadzwoniła? Przyjechałaby natychmiast.

Zaczęło ogarniać ją przerażenie; zadrżała nagle z zimna mimo ciepłych promieni słońca, wpadających przez okno. Patrzyła nie widzącym wzrokiem przed siebie. Nie zwróciła uwagi na biały sportowy samochód, który podjechał pod dom i zatrzymał się. W słuchawce przestało buczeć.

- Panna Morris? - Głos był ciepły i godny zaufania. - Pan doktor chciałby, żeby przyszła pani najszybciej, jak to jest możliwe.

- Czy ojciec...? - Nie mogła dokończyć zdania.

Pamiętała ojca sprzed wypadku - nie kogoś obcego i nieobecnego, kto był pogrążony w śpiączce przez wiele potwornych miesięcy, ale takiego, jakim był kiedyś - z przyjaznymi błyszczącymi oczami, zawsze gotowego do śmiechu i pełnego życia. Nie mógł tak po prostu umrzeć!

- Pan doktor czeka na panią. Wszystko jest w porządku - uspokoił ją ciepły głos i słuchawkę odłożono.

Melissa wzięła torebkę i wybiegła przed drzwi. Na pętli autobusowej zwykle stały taksówki. Gdyby się pospieszyła, mogłaby się znaleźć w szpitalu za niecałe dziesięć minut. Zderzyła się jednak ze stojącą przed nią osobą tak mocno, że aż odebrało jej oddech.

- Spokojnie - ostrzegł dobrze znany głos. Peter zatrzymał ją wyciągniętym ramieniem.

- Muszę się dostać do szpitala - wyjaśniła w pośpiechu.

- Będziesz pokazywać mi drogę - powiedział, otwierając przed nią drzwi samochodu.

W niecałe dziesięć minut byli na miejscu.

Peter poszedł za Melissą, która wbiegła do gabinetu przyjęć, gdzie czekał już lekarz. Kamień spadł jej z serca na widok jego twarzy. Z pewnością nie byłby taki zadowolony, gdyby miał do przekazania złe wieści.

- Odzyskał świadomość - powiedział po prostu.

Zobaczywszy radość, zrobił jednak ostrzegawczy gest.

- To nie jest takie proste, Melisso. Istnieją pewne uszkodzenia mózgu. Będzie musiał na nowo uczyć się wielu rzeczy, a to może trwać miesiącami. Niemniej jednak wszystko powinno ułożyć się dobrze.

- On wyzdrowieje - odetchnęła z ulgą Melissa. Odwróciła się do Petera; radość zupełnie odmieniła jej twarz. - Ojciec wyzdrowieje!

- Lepiej idź do niego. Masz tylko pięć minut - ostrzegł lekarz.

Pospieszyła na oddział. Peter podążał za nią. Zawahała się, podchodząc do łóżka. Matka podniosła głowę i spojrzała na nią. Jej twarz promieniała szczęściem.

Peter dyskretnie odsunął się na bok. Zaskoczyło go podobieństwo Melissy do matki. Obie miały ten sam wyraz słodczy w lekko przymkniętych szarych oczach i takie same regularne rysy.

Dziewczyna spojrzała na ojca. Oczy miał otwarte, naprawdę widział ją - jej krótkie skręcone włosy, białą zwiewną bluzkę i elegancki lawendowy kostium. Zmęczona twarz rozjaśniła mu się uśmiechem, który Melissa tak dobrze pamiętała.

- Witaj, moje dziewczę. - Jego uważny wzrok przesunął się na czekającego Petera. Zamrugał oczami. - Czy to twój kawaler?

- To Peter Darcy - przedstawiła go nieśmiało Melissa.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby nazwać Petera swoim kawalerem. Ojciec najwyraźniej nie pamiętał, że chodziła z Bobem.

Peter uścisnął dłoń starszego mężczyzny i uśmiechnął się.

Zapadła cisza. Ojciec spoglądał na matkę. Uśmiechała się i nadal trzymała jego dłoń. Po chwili przyszła pielęgniarka, żeby sprawdzić tętno chorego.

- Myślę, że byliście tu wszyscy wystarczająco długo - ostrzegła.

- Do jutra, tatusiu - powiedziała Melissa. Matka odwróciła się jeszcze.

- Chodź, mamó - poprosiła ją łagodnie Melissa. - Peter odwiezie nas do domu.

Matka spojrzała na zegarek.

- Naturalnie, kochanie, zrobię herbatę, a potem tu wrócę. Czy zostanie pan na podwieczorku? - zapytała Petera.

Peter zgodził się i ruszyli z powrotem do domu.

- Czy nadal chcesz pojechać do Pengleat House i pomóc Soni w pakowaniu? - zapytał.

Melissa zastanowiła się nad weekendem. Kiedy dojadą do Kornwalii, będzie już późno, ale następnego ranka mogłaby pomóc Soni zorganizować pakowanie i być może po południu Peter mógłby podrzucić ją do szpitala, a w niedzielę wieczorem wróciłyby do Londynu. Teraz i tak nie poszłyby z matką do szpitala; lekarz uważał, że nie powinno się niepokoić ojca odwiedzinami.

- Czy dobrze się czujesz? - spytała matkę.

- Tak, kochanie. Nakryj do stołu. Będzie to prawie świąteczny podwieczorek.

Cała trójka zjadła posiłek w wesołym nastroju. Matka znowu była radosna i pełna wigoru. Peter odprężył się jego twarz wydawała się niemal chłopięca.

- Podoba mi się twój kawaler - wyszeptała Melissie do ucha matka, gdy sprzątała ze stołu naczynia. - Myślałam, że z nim zerwałaś?

Melissa popatrzyła na matkę z miłością.

- To był inny chłopiec - próbowała wyjaśnić.

- Podoba mi się twoja matka - wspominał Peter, kiedy jechali z powrotem.

Melissa zachichotała i Peter popatrzył na nią. Z łatwością się teraz śmiała. Kąciki jej ust przez cały czas unosiły się do góry.

- Ty też się jej spodobałeś. Pomyślała, że zabrzmiało to dowcipnie, i znowu zaczęła chichotać. Peter jechał szybko opustoszałą szosą. Dookoła nich miękko i łagodnie falowały pola, a słońce rzucało długie cienie.

Melissa wzięła głęboki oddech; życzyła sobie, żeby ich jazda trwała wiecznie. Bez względu na to, co miało się zdarzyć w przyszłości, w tej chwili była szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Peter także się śmiał.

- Frywolne dziś z ciebie dziewczę, moja myszko. Zadziwiasz mnie.

Rozluźniona oparła się o fotel. Nawet myśl o ponownym spotkaniu z Davenportami nie mogła zepsuć radości, jaka ją ogarnęła. Chwilami rozmawiali, chwilami jechali w ciszy. Zapadał zmierzch.

- Chcesz zapytać mnie o pogrzeb? - przerwał panującą akurat ciszę Peter. Melissa spoważniała, ale spokój, jaki dawało jej szczęście, pozostał.

Ostatnim razem był zgorzkniały i nieszczęśliwy, ale teraz wszystko się zmieniło. Zastanawiała się, czy opłakiwał odejście babki. Przypomniawszy sobie bezceremonialną reakcję Soni, nie wiedziała, czy złożyć mu kondolencje.

Wyczytał ten wyraz z jej twarzy i szybko przykrył swoją dłonią jej przegub.

- Będzie mi jej brakowało, ale nie zamierzam rozpaczać. Na pewno nie spodobałoby się to babce - skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. - Byłaby zadowolona z pogrzebu. Sonia walczyła z pastorem i wujem, a dzień zakończyła kłótnią z Pamelą. W rezultacie mieliśmy pożałowania godną awanturę. Pierre był chyba dość zszokowany.

- Sonia też mówiła, że babce podobałby się pogrzeb - przyznała Melissa. Pomyślała o Davenportach. Czy byli jeszcze w domu? Zapytała o to.

- Boisz się, myszko, prawda?

Melissa zeszywniała. W jego głosie wyczuła złośliwy ton, ale potem zobaczyła, że oczy mu się śmieją.

- Nie mogę się doczekać ponownego spotkania z nimi - powiedziała, ściągając usta.

Peter zatrząsł się ze śmiechu.

Skręcał już w prowadzącą do rezydencji krętą aleję. Melissa spojrzała na ozdobną bramę wjazdową i ogarnęło ją rozrzewnienie.

Poczuła, że w pewien sposób związana jest z tym domem. Poza tym była w nim aura ponadczasowości.

Samochód zatrzymał się. Sonia zbiegła lekko po schodach na ich powitanie.

- Kochanie, jeszcze nic w całym życiu tak mnie nie ucieszyło, jak twój widok!

Melissa uścisnęła ją serdecznie i uśmiechnęła się do Pierre'a, który sięgnął po walizkę.

- I ja cieszę się, że tu jestem. Soniu, odzyskał świadomość!

Nie musiała jej tłumaczyć, o kogo chodzi. Sonia przytuliła Melissę.

- To cudownie! - powiedziała radośnie, po czym natychmiast zrobiła się praktyczna.

- Pierre, zanieś walizkę do złotego pokoju. Melissa chce na pewno napić się czegoś i odpocząć trochę po podróży.

Poprowadziła ich do salonu. Przez chwilę Melissa zawahała się przed wejściem, ale Peter wprowadził ją do pokoju. Davenportowie siedzieli tam, gdzie zawsze: wuj Harold przy kominku, mimo że nie palił się ogień, jego żona naprzeciwko, a Pamela na obitej czerwonym pluszem wiktoriańskiej sofie.

Ciotka odwzajemniła jej ukłon, a wuj jak zwykle przeszył ją lodowatym wzrokiem, po czym ciężko opadł z powrotem na krzesło.

Pamela odezwała się pierwsza.

- Witaj, Melisso! Na pewno jesteś zmęczona po podróży. Peter, nalej jej drinka.

Mimo że Pamela usiłowała podtrzymać rozmowę, w pokoju panowała napięta atmosfera. Sonia udawała, że jest czymś zaabsorbowana; uśmiechnęła się tylko do Petera, dziękując za drinka, i zupełnie nie zwracała uwagi na Davenportów. Wydawało się, że Peter jest jedyną osobą, która nie zwraca uwagi na panujące w pokoju nieprzyjemne napięcie. W świetnym nastroju prowadził z Pierre'em rozmowę o wyścigach samochodowych, a podczas pogawędki z Pamelą zdawkowo komentował zalety ośrodków narciarskich.

Melissa piła swoją sherry i odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie mogła przeprosić ich i schronić się w złotym pokoju.

Odsłoniła kotary i stanęła przed oknem, podziwiając przez kilka chwil widok. Od tamtego czasu nic się tu nie zmieniło. W złotym wazonie na toalecie znowu stały świeżo ścięte herbaciane róże o ciasno zwiniętych pąkach, a księżyc zalewał srebrzystą poświatą cichy ogród.

Davenportowie nadal tu byli, czekając nie wiadomo na co, Pamela zwracała swoją twarz ku Peterowi z tym samym, co zawsze, oddaniem, a Melissa cierpiała, wiedząc, że jej miłość jest beznadziejna.

A jednak zaszła pewna zmiana. Czuła się jakoś inaczej i wszystko dookoła odbierała też w inny sposób. Prawdopodobnie nastąpiło to dzięki poprawie stanu zdrowia ojca. Czuła, że uzbroiło ją to w siłę nie do pokonania.

Zrobiła się senna. Zamierzała już położyć się, kiedy w nagłym momencie rozjaśnienia zrozumiała istotę swojego stosunku do Petera Darcy.

Kochała go, ale musiała pogodzić się z faktem, że on nie odwzajemniał tego uczucia. Cóż, niektórzy przechodzili przecież przez życie, w ogóle nie znając uniesień i zachwyków miłości. Ona była gotowa zapłacić za swoje uczucie nawet cierpieniem. Tego nikt nie mógł jej odebrać.

Znowu zrobiła się senna. Być może ktoś, kto powiedział, że lepiej jest kochać i przegrać, niż nigdy nikogo nie kochać, wiedział, co mówi.

ROZDZIAŁ IX

- To powinna być już ostatnia - westchnęła z ulgą Melissa.

Śliczny błękitny pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Od samego rana razem z Sonią sortowały i pakowały jej rzeczy. Wypchane szafy i komody odsłaniały wszystkie nagromadzone skarby.

Trzeba było coś zrobić z zabawkami, pierwszymi balowymi pantofelkami, kijami golfowymi, raketami do tenisa, łyżwami, szpicrutą i deską pod siodło, notatkami z chemii i szkicami akwarelowymi, kolorową kaskadą wstążek i bukietami suszonych kwiatów. Sonia zrobiła się nagle sentymentalna i większość pamiątek zapakowała do pudeł.

- We Francji będzie dużo miejsca na te rupiecie - powiedziała. - Skoro Pierre zdecydował się tam pracować, spędzimy większość czasu na podróżowaniu między nowym a starym mieszkaniem w Londynie:

Melissa uśmiechnęła się, a Sonia zarumieniła się. Czekala je już tylko niewielka praca. Fotografie spakowały razem z zawartością szaf i obrusami, srebrne sztuce i zastawę stołową włożyły do oddzielnych pudeł.

- Jestem wykończona - przyznała Sonia. - Nigdy nie przypuszczałam, że mogłam nazbierać tyle śmieci.

- Nie nazwałabym tego śmieciami - zaproponowała Melissa. - To wszystko ci się przyda, kiedy zostaniesz gospodynią domową.

- Oczywiście, kochanie - roześmiała się Sonia. - Od tej pory postaram się wyleczyć z gromadzenia pamiątek i kupowania bubli w czasie moich podróży po świecie.

W tym momencie Pierre zajrzał ostrożnie do środka i odetchnął z ulgą na widok zgromadzonych pod ścianą waliz i skrzyń. Uciekł przed powodzią wyciąganych z szaf rzeczy, gdy tylko dziewczyny zabrały się do pakowania; jako wymówkę podał konieczność zwiedzenia razem z Peterem fabryki.

- Przyszedłeś w samą porę - powitała go żona.

- Skończyłyście, tak?

- Skończyliśmy - zapewniła Melissa. - Czy obiad jest już gotowy?

- Przyszedłem, żeby zabrać was na dół - odpowiedział Pierre. Zeszli po schodach. Pielęgniarka Moffat, nie do poznania w eleganckiej garsonce, stała przed wujem Haroldem.

- Jeszcze raz panu mówię, że pani Hamilton dała mi go.

- Czyżby?! - zadrwił wuj. - Dlaczego miałyby oddawać taki cenny zegarek?

- I proszę się nie spodziewać, że damy pani jakiegokolwiek referencje - warknęła ciotka Cynthia.

- Skąd możemy mieć pewność, że nie przywłaszczyła go pani sobie?

- Pani Hamilton podarowała mi go - powtórzyła pielęgniarka, usiłując powstrzymać łzy.

- Co pani podarowała? - spytał Peter, który wszedł do pokoju razem z Pamelą.

- Pani Hamilton dała mi swój zegarek na pamiątkę, a pan Davenport oskarża mnie o kradzież!

- Wszystko w porządku, wuju - powiedział łagodnie Peter. - Byłem przy tym, gdy babka dawała go pani Moffat.

- Ten zegarek jest bardzo cenny i powinien być włączony do majątku - gderał wuj Harold. - Jeśli babka zapisała go w testamencie pielęgniarce, dostanie go z powrotem, kiedy wszystko zostanie uporządkowane.

Peter zignorował go i zwrócił się do pielęgniarki.

- Z jakiego powodu wróciła pani tutaj?

- Przyszłam po referencje, ale pan Davenport...

- Z wielką radością dam je pani. Czy to dla rodziny Maningtonów? - Peter wyprowadził Moffat z pokoju; jego głos ucichł, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

- Coś podobnego - wycedziła Sonia. - Na wiele sobie pozwalasz, wujku.
Odmowa referencji i oskarżenie o kradzież!

- Gdybyś miała trochę oleju w głowie, zrozumiałabyś, że wszystko należy do majątku! - zaczął wrzeszczeć wuj Harold.

- To nie twoja sprawa. - Wzruszyła ramionami. - Nie jesteś wykonawcą testamentu!

Wuj Harold wymienił z Pamelą ukradkowe spojrzenie, po czym uśmiechnął się zadowolony.

- Ależ jestem, moja droga.

- Według testamentu, który babka sporządziła zaraz po twoim burzliwym wyjeździe dwa lata temu, twój wuj i ja zostaliśmy jego wykonawcami - wyjaśniła z triumfem w oczach ciotka Cynthia.

Sonia znów wzruszyła ramionami i przytuliła się do Pierre'a. Ciszę przerwało wejście Petera, na którego twarzy nadal gościła wesołość.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie możemy zacząć obiadu? Umieram z głodu? - powiedział.

Melissa ucieszyła się, że może siedzieć przy stole obok niego i zająć się posiłkiem. "Dzisiaj - pomyślała - Davenportowie prześcigają się w sprawianiu innym przykrości".

- Peter, ty najlepiej powinienesz wiedzieć, że błyskotki twojej babki powinny być włączone do majątku - powiedział wuj Harold, siadając za stołem.

- O ile nie należą do spadku albo nie zostały wyraźnie przez nią komuś podarowane - przypomniał Peter.

Wuj Harold rzucił mu groźne spojrzenie.

- Ale ta kobieta nie miała żadnego prawa zabrać go sobie!

Pamela spojrzała na Sonię, siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Domyślasz się, że twoje małżeństwo zmienia kilka spraw. - Jej wzrok był przenikliwy.

- Nie sędę - powiedziała Sonia obojętnie. Ciotka Cynthia rozłożyła serwetkę i powiedziała z jadem w głosie:

- Tak, moja droga. Może jednak trzeba było posłuchać rady babki i wyjść za Petera. Jako jego żona przejęłabyś udział w zyskach.

Z twarzy Soni zniknął pełen smutku i napięcia wyraz; jej spojrzenie znów stało się drwiące.

- Moja droga ciociu, czyżbyś nie słyszała? - Babcia zmieniła testament!

- Nie mogłaby! - wyśmiał ją wuj Harold. - A to dlaczego? - zapytał uprzejmie Peter. Skończył zupę i zabrał się z apetytem do sałatki.

- Musiałaby stracić rozum na starość, gdyby to zrobiła - zadrwił wuj.

- Wygląda na to, że ani lekarz, ani adwokat tak nie uważali - poinformowała Sonia, patrząc na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

- Nie widziała się z adwokatem! - krzyknął. - Wiedziałbym, gdyby przyszedł.

- A jednak nie wiedziałeś - niemal z zadowoleniem wymruczała Sonia. - Jestem przekonana, że powiedziałeś mu, że jest zbyt chora i nie może przeprowadzić z nim rozmowy, o którą prosiła.

Twarz wuja zrobiła się ziemista; odsunął od siebie sałatkę, którą właśnie zaczął jeść. Melissa także odłożyła widelec. Przypomniała sobie nagle dziwne zdarzenie - starszego dżentelmena, odjeżdżającego staroświeckim autombilem, i pielęgniarkę, biegnącą żwawo przez krzaki, aby go zatrzymać.

- Myślę, że Moffat wprowadziła go do babci - ciągnęła Sonia. - I tak się dziwnie złożyło, że i lekarz był wtedy u niej.

- Więc nie będę cię kłopotać obowiązkami wykonawcy testamentu - powiedział uprzejmie Peter.

Wuj Harold wyraźnie stracił animusz.

- A jeśli cię to interesuje, wujku, zostawiłam połowę swoich dodatkowych udziałów - wyjaśniła Sonia.

- Więc babka zaakceptowała twój mariaż z Francuzem bez grosza przy duszy - powiedziała drwiąco Pamela.

- Matka Pierre'a, baronowa - Sonia lekko podkreśliła ostatnie słowo - była jej bardzo bliską przyjaciółką...

Melissa patrzyła z radością, jak wuj otwiera usta ze zdziwienia. Daleka od kulenia się ze strachu przed atakami Davenportów, odkryła ku swemu zdziwieniu, że właściwie cieszy ją cios, jaki zadali im Sonia i Peter.

- Kto dostanie drugą część udziału? - ostrym tonem spytała ciotka Cynthia.

- Moja żona - wyjaśnił Peter - kimkolwiek by nie była. Zwrócił się do Melissy. - Jeśli wyjedziemy teraz, mogę cię zapewnić, że zdążysz na popołudniowe odwiedziny w szpitalu. Skończyłaś już obiad?

- Oczywiście - odpowiedziała Melissa.

Pod nosem wypowiedziała słowa pożegnania, ale wątpiła, czy Davenport ją usłyszał. Z ponurą miną siedział na krześle. Ciotka Cynthia ukloniła się jej chłodno, a Pamela posłała wymuszony uśmiech. Sonia uścisnęła ją mocno.

- Zobaczymy się wieczorem w domu, kochanie - obiecała.

Zza jej pleców Pierre mrugnął do Melissy, a trzy twarze w tle obrzuciły go niechętnym spojrzeniem. Melissa pobiegła na górę po walizkę. Siedząc w samochodzie obok Petera, odetchnęła z ulgą. To był bardzo interesujący obiad.

- Może niepotrzebnie tak cię poganiałem?

- Ależ nie - odpowiedziała grzecznie Melissa. - Tylko obcowanie z Davenportami...

- ...jest stanowczo zbyt męczące - dokończył Peter. - Nic nie szkodzi. Kiedy przyjedziesz następnym razem, nie będzie ich już.

Podkreślenie słów "następnym razem" zawierało obietnicę. Policzki Melissy zaróżowiły się. Nie odpowiedziała. Przed jej oczami znów pojawili się Davenportowie.

Była ciekawa, dlaczego wuj Harold tak wyraźnie strapił się na wspomnienie o nowym testamencie.

- Więc twoja babka zmieniła w końcu ostatnią wolę? - zapytała.

- Pomimo usilnych zabiegów wuja Harolda - wyjaśnił Peter. -

Zdecydowała się na to po twojej wizycie u niej. Ale oni pilnowali, żeby nie dopuścić do niej adwokata - zaśmiał się.

- Sonia i Pierre zostali usunięci z drogi, a Pamela prowadziła własną grę.

- Nic dziwnego, że twój wuj nie był nastawiony przychylnie do pielęgniarki - przerwała Melissa. - Widziałam, jak wtedy z powrotem wprowadzała adwokata do domu.

- Babka chciała, żeby lekarz był świadkiem zmiany testamentu - wyjaśnił Peter. - Zawsze ją odwiedzał, więc nikt nie zwrócił na niego specjalnej uwagi. Stary adwokat miał nadzieję, że wkradnie się po cichu, ale wuj Harold dopadł go i odprowadził z powrotem do samochodu. W każdym razie Moffat miała uważać na niego i spróbować przemknąć się z adwokatem do babki.

- Dobra z niej kobieta - powiedziała Melissa.

Rozmowa urwała się. Wyglądało na to, że Peter, mimo dobrego nastroju, wolał skoncentrować się na prowadzeniu samochodu. Do końca podróży nie rozmawiali ze sobą. Zatrzymał samochód przed szpitalem.

- Podrzucę później twoja walizkę do mieszkania - powiedział, otwierając jej drzwi.

Nawet nie czekał na odpowiedź; pomachał na pożegnanie ręką i dodał gazu. Wkrótce biały samochód zniknął za zakrętem. Melissa patrzyła za nim przez chwilę, w końcu wzruszyła ramionami. Zaczynała się już przyzwyczajać do jego nagłych wyjazdów. Pobieгла do szpitala.

Matka już tam była. Z błyszczącymi oczami śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział ojciec.

Na widok Melissy uśmiechnął się.

- Witaj, córeczko!

Odpowiedziała na jego uśmiech, spojrzała na matkę i obie równocześnie roześmiały się.

- Z czego się tak cieszyacie, co? - zażądał odpowiedzi.

Czuł się o wiele lepiej niż wczoraj. Jego mowa była pewniejsza, a wypowiedzi logiczne i spójne. Po chwili jednak głowa opadła mu na poduszkę i zapadł w drzemkę. Był to sygnał dla pielęgniarki; uśmiechnęła się, przypominając im, że to już koniec wizyty.

Melissa i matka natychmiast opuściły salę. Obie czuły bez troskę jakże różną od stanu, w jakim zazwyczaj opuszczały szpital. Po podwieczorku matka poszła z Melissą na przystanek autobusowy.

- Będzie się musiał od początku uczyć czytać - roześmiała się. - Czeka nas mnóstwo zajęć.

Autobus zakołysał się na zakręcie i zwolnił przed przystankiem. Matka pocałowała Melissę.

- Sympatycznego masz chłopca - powiedziała, gdy się rozstawały.

- Wcale nie jestem pewna, czy jest moim chłopcem - przyznała Melissa. Ale matka już jej nie słyszała.

Melissę czekała jeszcze długa podróż pociągiem do Londynu. Z przyjemnością pomyślała, że rodzicom spodobał się Peter Darcy, ale to jeszcze nie znaczyło, że był jej chłopcem. Westchnęła. Kobieta o matczynym wyglądzie popatrzyła na nią zaniepokojona. "Gdyby tylko - pomyślała - jego obecność nie doprowadzała mnie do takiego stanu. Dzisiaj wieczorem bezwzględnie zobaczę się z nim po raz ostatni".

Postanowiła, że pożegna Petera z godnością; będzie chłodna i niedostępna.

W mieszkaniu było ciemno i pusto. Zapaliła światło i nastawiła wodę na kawę. Po chwili weszli Sonia z Pierre'em.

Pierre biegał do samochodu po bagaże, które ustawiał pod ścianą.

- O, kawa! - wykrzyknęła Sonia. - Właśnie miałam na nią ochotę.

Pierre wyciągnął rękę w ostrzegawczym geście.

- Wychodzimy, i to już!

Sonia wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Jesteśmy umówieni.

Pierre chwycił Sonię pod rękę i poprowadził do drzwi.

Potem uśmiechnął się ciepło i przyjaźnie do Melissy.

- Ta tutaj za dużo gada! Niepocieszona Melissa odprowadziła ich do wyjścia. Chciała, żeby zostali dłużej, przynajmniej na kawę. Z niechęcią pomyślała, że zostanie sam na sam ze swoimi myślami.

Jakaś postać weszła na schody, niosąc walizkę. Peter pomachał Soni na pożegnanie. Melissa odsunęła się, żeby wpuścić go do środka.

- Wejdz, Peter - starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie, jednak czuła, że się rumieni.

Peter postawił walizkę na podłodze i uśmiechnął się. Sięgnął do kieszeni i wyjął małe, podniszczone, obszyte atłasem pudełko.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział.

Melissa spojrzała na nie. Pożegnalny prezent! Naprawdę, Peter Darcy był najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała!

- Otwórz - polecił.

Melissa uniosła wieczko. W środku leżała szafirowa broszka.

- Nie mogę tego przyjąć! - wykrztusiła. - To pamiątka. Powinna zostać w rodzinie.

- Chcę, żeby została w rodzinie - objął ją ramieniem. - Ach, ty gąsko! Nie rozumiesz, że właśnie proszę cię o rękę?

Melissa zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie.

- A co z Pamelą? - zapytała. Peter wybuchnął śmiechem.

- Kazałem im wszystkim wynieść się! Od dziś interesy z Davenportami załatwiać się będzie w biurze, a nie przy obiedzie w moim domu.

Nachylił się, aby ją pocałować, gdy nagle ktoś zapytał kpiącym głosem:

- Oświadczyłeś się już?

Peter westchnął zrezygnowany i utkwiał wzrok w Soni.

- Doprawdy, Soniu! Myślałem, że Pierre cię przypilnuje.

Oparła się o framugę; zza jej pleców Pierre wyciągnął dłoń w przepaszającym geście.

- Musiałam się dowiedzieć, czy moja Melissa jest już członkiem naszej rodziny. Dałeś jej pierścionek?

Peter wyjął z kieszeni płaskie pudełko i wsunął Melissie na palec wąską, ozdobioną szafirami obrączkę.

- Z broszką stanowi komplet. Babka chciała, żebyś go nosiła.

Melissa spojrzała na pierścionek na palcu i niepewnie popatrzyła na Petera.

- No, właśnie! Babka odgrywała swoją rolę do końca - powiedział. - Rozpoznała cię, ale była przekonana, że nie odmówisz umierającej staruszce.

- To byłoby okropne - przyznała Melissa. - Poza tym, nie wiedziałam...

- ...że jesteśmy tacy cwani - dokończyła Sonia.

- To cecha rodzinna - ciągnął Peter. - Tak czy owak, musisz za mnie wyjść. Nie możesz złamać obietnicy, którą dałaś babce na łożu śmierci.

Melissa popatrzyła na niego z oburzeniem, lecz jego spojrzenie było ciepłe i nalegające. Bez wahania przytuliła się do niego.

- Babka od razu wykryła oszustwo - mówiła dalej Sonia - ale to dzięki tobie postanowiła zmienić testament.

- I chciała, żebym cię poślubił, bez względu na to, kim byłaś - powiedział Peter. - A kimże my jesteśmy, żeby sprzeciwiać się woli babki?

- Właśnie! - przytaknęła Sonia. - Kochanie, jestem bardzo szczęśliwa, że mogę cię powitać w naszej rodzinie.

Odciągnęła Melissę od Petera, żeby ją ucałować. Pierre z entuzjazmem poszedł za jej przykładem.

- I ja - powiedział. Jego ciepłe brązowe oczy iskrzyły się radością.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział Peter - chciałbym pocałować swoją narzeczoną!

- Jeszcze tego nie zrobiłeś? - zapytała kpiąco Sonia.

Pierre pociągnął ją w kierunku wyjścia, puścił oko do Petera i cicho zamknął za sobą drzwi. Słysząc było jeszcze chichot Soni i stukot jej obcasów, a potem warkot silnika.

Melissa oparła głowę na ramieniu Petera i patrzyła na połyskujący na jej palcu pierścionek.

- W przyszłym tygodniu możesz wysłać zawiadomienia o ślubie - powiedział Peter. - Nie wierzę w długotrwałe narzeczeństwo.

Melissa zeszywniała, ciesząc się i jednocześnie nie dowierzając. Lecz Peter źle ją zrozumiał... Naraz wylewność zniknęła z jego twarzy.

- Kiedy jestem z tobą niczego nie jestem pewien, myszko - powiedział łagodnie. - Czy małżeństwo i inne staroświeckie nonsensy odpowiadają ci?

- Tak - zgodziła się potulnie Melissa. Uniosła kpiąco brwi, naśladując Sonię.

- A ilu potrzebujesz zapewnień? - zapytała.

- Jestem wyjątkowo niepewny - zamruczał Peter, ciągnąc ją za sobą w stronę tapczanu.

